







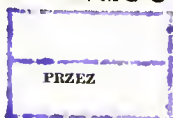
MILJON POSAGU.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

THE END OF THE WORLD

MILJON POSAGU

POWIEŚĆ



J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.



WARSZAWA,

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa
przy ulicy Miodowej Nr. 496.

—
1847.

Handwritten note:
Biblioteka
Wojas



II nr inu. - 923

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
exemplarzy.

Warszawa dnia 10^{1/22} Maja 1846 r.
Cenzor Niezabitowski.



NOWINA W GÓROWIE.



NOWINA W GÓROWIE.

Smutne było życie w Górowie.

My gospodarze, nawet bardzo czynnie zajmując się, tém co to się zowie gospodarstwem wiejskiém, ledwie nieustannie nachodzącej pracy, wydołać możemy i dać jéj przyzwoity kierunek. Od tego kierunku zależy pomyślność we wszystkim. Z jednakową siłą, jednakowymi środkami pomocniczymi, na podobnych gruntach, w jednostajnych położeniach, dwa folwarki różnie administrowane, dadzą i odmienny

wcale plon i nierówną dozę kłopotów właścicielom. Cóż, gdy gdzie nie ma głowy i gospodarstwo idzie z lichem?

Stary Krajczy nie myślał już wcale o gospodarstwie, panna Scholastyka niewiele do jego pomyślności rozporządzeniami swemi przyczynić się mogła. A wreszcie kobieta tu rzadko, albo i nigdy nie da rady. Nigdy spoczynku, wytchnienia: — zimą, wiosną, latem, jesieni, robota zachodzi na robotę, oranie, kosiwica, zasiewy, zbiory, młóćba, doganiają się i w kark pędzą; uchybisz w jedném, przepada ci wszystko. Gdzież tu wystarczyć kobięcie? Scholastyka przy najlepszych chęciach, rozpaczała, widząc wszystko lecące ku ruinie. Krajczy ze swoim przysłowiem, znosił wszystko lekko, jakby go nie już niedotykało, ale też w niczém nie dopomógł. Gadał ci to, prawda z Ekonomem czasami, traktował go wódeczką i mówił ostatecznie:

— *Jakoś* to będzie.

I było *jakoś* bardzo nie dobrze!

Na maleńkim folwareczku, najczynniejszy gospodarz przy długach, dałby sobie radę, ledwie z największą trudnością; cóż dopiero starzec, który cały dzień się modlił, na wszystko odpowiadał — *Spes in Deo*; z pokoju dalej jak na ganek i to o kiju niewychodził.

Kobięty patrzyły na to i płakały — upadek zwiastował się bliski, nieuchronny, groźący. Trzebaż było martwić starca, ukazując mu go co chwila?

Biędny stary miał jeszcze tę słabość, że w lesie swoim, który należał do części Górowa, widział krocie, i ratunek na wszystko, a w dodatku wieś nową. Las ten najdrożej ceniąc pnio-wszczyznę wart był parę tysięcy rubli; najwięcej, wyrobiwszy zeń kłody, i murlaty i co tylko wyrobić się dało, resztę splawiwszy na drwa do Pińska, może tysiąc dukatów. Krajczy zaś strawiwszy raz cały tydzień na robienie rachunku, przez przybliżenie z danej ilości morgów, wypisał sobie ile być ma belek, klepki, kłód, murlat, stosów drew i w dodatku smo-

ły z pni, a podsumowawszy rachunek otrzymał krocie.

Te nieszczęsne krocie tak mu się w głowę wbiły, że na nich spał, jadł je, niemi wszystkim usta zamykał, a gdy kto nie dowierzając ruszył ramionami słuchając, wyjmował arkusz papieru i konwinkował.

— Ot, czarno na białém!

Dość że mu fortuny w tym kawałku lasu wymarzonej, wyperswadować było niepodobna. To go ostatecznie zrujnowało, bo spuszczać się na pewny ratunek, o folwarczek pozostały ani dbał, hodując las swój i nim żyjąc tylko.

Kilka razy miał kupców na niego, ale na próżno przekładano mu że las ustarzeje się i gnilec wpadnie; na wspomnienie ceny, wypędzał żydów i słuchać o sprzedaży nie chciał.

— Dwa tysiące rubli! dwa tysiące rubli? Szachraje! kiedy ja za dwadzieścia nie oddam!

— Ale las starzeje!

— Nie bójcie się! Tém więcej Masztów bę-

dzie! Masztów będzie. Trzeba zaś wiedzieć, że naogradzał masztów co nie miara takich, z których dwunasto-calowych belek wyrobić nie było można dłuższych nad trojaki i czworaki; a rachował sobie każdą sztukę ogrodzoną po trzysta dukatów, złapawszy nie wiem gdzie, tę cenę bajeczną, której i w Gdańsku wziąć trudno.

Słowem Krajczy żył swoim przyszłościem. *Spes in Deo*, nie dodając do niego żadnego innego, do czynności podbudzającego. Długi rosły, zaległości wzmagaly się, spokojność uciekła; Krajczy uśmiechał się swęj myśli.

— Lasem wszystko zapłacę! i gdybym tylko chciał!

Ta myśl dodawała mu siły w przeciwnościach, ale dla nie dzielających jęj kobiet, stan majątkowy był strasznym, w domu co dzień mniej wszystkiego, co dzień niedostatek dokuczliwszy; żydzi naprzykrzeńsi, dłużników więcej a więcej. Pustki w szpiżarni, w stodole, w kuchni, w piwnicy!

Panna Scholastyka wzięła się do gospodarstwa kobięcego, z rozsądkiem, który jęj zastępował doświadczenie, z zapalem któren rodzila potrzeba. Marja pomagala jęj wesoło i ochoczo. Temu anielskiemu dziecięciu żadne poświęcenie, nie wydało się nigdy ciężarem. Dziecięciu powiadam, bo dorosła miała dziecięcą niewinność, prostotę, pobożność i spokój wewnętrzny. Na czystém jęj czole, czytales czystą przeszłość. Cierpienia przeszły po duszy, ale jęj nie zachmurzyły, nie zamąciły jęj, nie wstrzęsły nią; zniosła spokojnie, pomodliła się i uśmiechem witała, te wielkie radości życia, na które tylko dzieci są czule, tylko dzieci i jenjusz. Dla Marij zachód lub wschód słońca, piękny kwiatek złamany wlecie, ładne dziecię na wsi spotkane, przeczytana książka, były tylaż chwilami szczęścia. Uszczęśliwialo, bawilo, cieszyło ją wszystko, a tylko cudze nieszczęście dręczyło.

Pomimo że życie w Górowie, coraz więkzemi ogrodzone było uciski, że każdy dzień mno-

żył prześladowania, że stali nad przepaścią, Marja ufała Bogu i przeszłości. A co to było za życie!

Co tydzień odwiedzwszy żydków dłużników, co dwa dni naprzykrzony Kulikowicz, którego ubłagać nie było można niczém, co dni kilka assesor lub exekucja. Zaległości skarbowe tak były znaczne że żołnierze nie wychodzili ze dworu.

Białej sukni perkalowej na lato, szlafroka na zimę, sprawić już nie było za co, a pokazanie się w kościele, codzień stawało się straszniejszém niepodobieństwem. Nielitościwe sąsiedztwo szydziło i z sukni!!

Jedne odwiedziny Seweryna, jak promień słońca w dzień chmurny, na chwilę rozjaśniały szary mrok tego nieznośnego życia.

Humor panny Scholastyki, był także nie małym lekarstwem, ona w swoim sposobie nie zrażała się także niczém. W uczuciu swój siły, energij swego charakteru, brała odwagę, której liczne dawała dowody. Ona przyjmowała-

ła najprzykrzejszych gości, a przymknąwszy drzwi od pokoju Krajczego, brała na siebie ciężar najnieznośniejszój, najgłupszój, często najbardziej grubijańskiej rozmowy. W potrzebie, potrafiła też zgromić i zagrozić, skarżyć się, dojechać do Marszałka, rozmówić z przejeżdżającym Gubernatorem, wysłać list na pocztę do jakiej znaczącej osoby. Słowem, opatrność to ją rzuciła tutaj, na ochronę starca i słabego dziecięcia Marij.

Po najutrapieńszych przejściach, jeszcze wieczorem, wesołym ich rozchmurzała opowiadaniem.

Tak lata płynęły w Górowie. Marja za całą spuściznę miała dość piękną biblioteczkę, którą dawniej moda złożyła, a teraz ubóstwo z niej korzystało. Panna Scholastyka, której ani rozsądku, ani na swój czas wychowania nie brakło, robiła wybór w tych książkach dla siostrzenicy. Wyrzuciła z niej te dzieła, które w zbiorze królewskiej kochanki znajdować się musiały, których tyle wydał wiek XVIII. Marja

nie splamiła się takim czytaniem. W sąsiednim miasteczku potrafiła złotobrzeżne, safianowe, welinowe edycje głupstw i bredni pseudo-filozoficznych, wymieniać na nowe dobre książki. Zamianami temi żyły obie z Marją. W brzezynie, za dworem stała ławka, tam czytywały długie godziny; tam Marja często ławem okiem patrzyła na świat, który się jej tak piękny, cudny wydawał! Sierota, nie pożądała przecież niczego, niczego nie zazdrościła nikomu, krom uścisków matki i błogosławieństw ojca.

Jak łatwo Seweryn i ona zrozumieć się i pokochać musieli — widzicie.

A wstrzemięźliwość, umiarkowanie uczucia przypiszcie szlachetności obojga. Marja lękała się o przyszłość jego, on o nią. Oboje nie śmieli sobie powiedzieć że się kochali i oboje w duszy mówili.

— Ona mnie nie kocha!

— On mnie nie kocha!

A co dla innych byłoby rozpaczą, dla nich

prawie pociechą. Seweryn myślał — będzie z innym szczęśliwą! Ona powtarzała — nie zagrozę mu przyszłości.

Tak dożyli tego pamiętnego wieczora, którego wysłany z Warszawy Regent Szarzycki, podżyły już człowiek, przyjechał im oznajmić niespodziewane szczęście, co tak poruszyło całém sąsiedztwem. Tego dnia, żadne przeczucie, żadna przepowiednia nie poprzedziła. Przyszedł jak piorun na nieprzygotowanych. Rzadko komu przychodzi tak szczęście; często przychodzą tak złe wieści.

Krajezy w swoim pokoju mówił wieczorne modlitwy z zabrukanego Horaliku. Panna Scholastyka siedziała w piérwszym na kanapie i patrzyła obojętnie w okno, Marja przechadzała się ze spokojem na czole, ale zamyślona.

Na grobelce ukazał się powóz.

Marja go piérwsza postrzegła.

— A! Ciotuniu, ktoś jedzie!

— Nie może być! zawołała Scholastyka! a! nieszczęście! pewnie assesor, albo—

— Bryczka kryta, czy powóz?

— Ani chybi, jakiś dłużnik, albo sądowa figura! O mój Boże, a tu w domu nawet herbaty nie ma! Nic! nic! Rosół na wieszczkę i kasza jaglana!

— Ciociu! powóz i jakiś podróżny.

— A! słychać dzwonek! urzędnik, zginęliśmy, trzebać odwagę nadrabiać!

— Co tam? spytał Krajczy.

— Weześnie się Jegomość zaniknij, bo ktoś jedzie, a w domu, nie ma nic.

— Jakoś to będzie. To zamknijcież drzwi.

Powóz zbliżał się coraz, Marja z Ciotką ciekawie przez okno mu się przyglądały.

— Pocztą! powóz porządny! któżby to mógł być taki?

— A! moja droga, któż jeśli nie jaki zwiaśtun złego? Słuchaj, powiemy że Krajczy chory, że w domu przez to nieład. A na wieszczkę wypadnie dodać pieczyste. O! mój Boże, zkąd ja je wezmę?

Powóz pana Szarzyckiego zatoczył się przed ganek, głos dał się słyszeć w sieni.

— Pan Krajezy tutaj?

— Tutaj!

— W domu?

— Jest, nigdzie nie jeździ.

— A panie?

— Jakie panie?

— Panny?

— A i panny są.

— Głos zupełnie nie znajomy! zawołała Scholastyka, a tłumoki ogromne — będzie noco-
wał! Jutro rano kawa, której nie ma.

Obu kobietom biły serca z niepokoju gdy powolnym krokiem wszedł Regent Szarzycki. Człowiek to był z taktem i głową, umiał sobie w każdym razie postąpić, i jeden rzut oka odkrywał mu ludzi i wskazywał co miał i jak powiedzieć.

Spojrzawszy na Scholastykę, która przeciw niemu postąpiła, na Marję, na pokój; domyślił się i ubóstwiał i kłopotu.

— Znajduję, rzekł, w domu pana Krajczego?

— Jest, ale chory staruszek.

— Chory? Pani zapewne jesteś Scholastykaska.

— Tak jest.

— A to godna jój siostrzenica.

— Tak jest!

— Rekomenduję się paniom, jestem Regent Szarzycki.

— Zapewne w interesie pan Dobrodziej, a Krajczy chory.

— To interes który choroby nie wzmoże rzekł powolnie, zresztą tycze się więcej pań obu, niż pana Krajczego.

Kobięty spojrzały po sobie.

— Niechże pan siada, prosiemy.

— Smutną i wesołą razem wieść przynoszę paniom, rzekł Regent.

— Smutną, wierzym chętnie, do takich przywykłyśmy, odpowiedziała panna Scholastyka, ale wesołej —

— Istotnie nie zgorsza i można ją nazwać wesołą.

— Jeśli tak, niech że nam pan jój udzieli łakomeśmy na nią.

— Pozwólcie więc panie, oznajnić sobie śmierć Wojewojewodziny i miljonowy spadek, któreń na nie obiedwie się otworzył.

Na te słowa, panna Scholastyka krzyknęła ogromnym głosem.

— Jezu Marja! I poskoczyła ku Regentowi.

— Panie, na miły Bóg, nie zwodzisz nas.

To nie jest żadna mistyfikacja, żart, to byłoby okrutnie.

— Wiozę z sobą dowody, będziesz się pani mogła przekonać.

Marja blada jak ściana, stała nieruchoma, nagle rumieniec wytrysnął jój na twarz, przymknęła oczy, pochyliła się. Ciotka pochwyciła ją na ręce.

— Regencie, zawołała, każ dać wody—wody, biedne dziecię, znosiła wyśmienicie ubó-

stwo, ale nagłej zmiany, wytrzymać bez om-
dlenia nie mogło.

Pan Szarzycki otworzył drzwi i zawołał lu-
dzi. Po chwili Marja otwarła oczy, uśmie-
chnęła się do Ciotki.

— Kiedy tak, mój Regencie, to trzeba oz-
najmić Krajczemu. Nie wiesz jaki był nasz
stan! jakie położenie, nie możesz miarkować
nawet coś nam przywiózł! Krajczy nie słaby!
Musiałysmy ci powiedzieć, sądząc że to któ-
ry z dłużników.

— Z dłużników!

— Tak jest, mamy ich wielu! Chodźmy
Marjo, do Krajczego!

I otwarła drzwi powoli, stary złożył książ-
kę, wstał i posunął się naprzeciw wchodzą-
cym kilka kroków.

— Pan Regent Szarzycki z Warszawy, ode-
zwała się Ciotka.

— Cóż mi jedna honor widzenia go w mo-
im domu?

— Interesik szanowny panie, ale dość dla tych pań pomysłu.

— Hm! chwała Bogu.

— Powoli! Regencie, szepnęła Ciotka.

— Kilkanaście tysięcy spadku, rzekł pan Szarzycki.

— Ot! widzicie! a mówiłem, *Spes in Deo. Deus providebit!* Niechże ucałuję, uściskam!

— A może nawet kilkadziesiąt! dodał Regent.

— Tém lepiej! Dzięki tobie Boże.

— Dość na dziś Regencie, szepnęła znów Ciotka.

— A na kogoż to przypada?

— Zapis na dwie głowy, po nieboszce wojewodzinie; na JMP. Scholastykę i Marją.

— Oto mi gość! oto mi gość!

A że Krajczy nie wiedział co się uniego w domu działo, dodał.

— Podajcież win z lochu! wina! starego!

Wina nie było, ani kropli.

— Musiemy poczekać aż klucznica powróci, szybko zawołała Scholastyka.

— Siadajże Regencie, siadaj. Jakże godne imie pańskie?

— Szarzycki.

— Szarzycki? Czy nie tych co z Sieradzkiego?

— Tych samych!

— O! znajomy ród! stara szlachta herbu Ślepowron. Znam, znam, jeden był Łowczym Sieradzkim, drugi —

— Ciż sami.

— Ale dajcież choć herbaty.

— Herbata zaraz będzie, dodała Ciotka łamiąc głowę co począć.

— Regencie, powiedz swoim ludziom, żeby rozpakowali, i dała znak P. Szarzyckiemu, żeby z nią wyszedł.

W pierwszym pokoju, zatrzymała go u drzwi.

— Słówko, kochany panie. Jesteś prawnik, prawnik jak lekarz zna wszelkie położenie w jakich się człowiek znajdować może; i żadnego za złe nie bierze. Jesteśmy bez grosza w domu, bez najmniejszych zapasów, Krajczy

nie o t \acute{e} m nie wie. B \acute{e} dzie to przeciw wszelkim formom i przyzwoitości, ale musz \acute{e} si \acute{e} u pana w kwadrans po jego przybyciu zapo \acute{z} yczyć.

Pan Szarzycki uśmiecni \acute{a} ł si \acute{e} łagodnie.

— Przewidzia \acute{e} ł po cz \acute{e} ści to po \acute{l} o \acute{z} enie, chocia \acute{z} go sobie tak przykr \acute{e} m nie wyobra \acute{z} alem. Mam z sob \acute{a} i przy sobie dwa tysiące dukatów, kt \acute{o} re w t \acute{e} j chwili oddam.

Panna Scholastyka tak by \acute{a} uradowana, \acute{z} e uściska \acute{a} ł Regenta i gdyby nie by \acute{l} \acute{z} onaty, m \acute{o} g \acute{l} by \acute{l} z tego wzi \acute{a} ś \acute{c} assumpt do konkur \acute{o} w.

Natychmiast wys \acute{l} any stary Ekonom wesp \acute{o} ł z Ar \acute{e} darzem za pokupkami do miasteczka; ale za \acute{e} ldwie z rana nazad z niemi powr \acute{o} cić mogli. Trzeba by $\acute{ł}$ zr \acute{e} cności Ciotki, \acute{z} eby bi \acute{e} dnego Krajczego niedostatkiem domowym nie zawstydzic. Przyśpieszono wieczerz \acute{e} , zagadano spraw \acute{e} , stary niedowidzia \acute{l} troch \acute{e} i tak to jak \acute{o} s przesz \acute{l} o.

Pan Szarzycki z cieka \acute{w} ości \acute{a} , z zaj \acute{e} ciem cz \acute{l} owieka, kt \acute{o} rego wszelki niespodziany obraz zajmuje; wpatrywa \acute{l} si \acute{e} , przys \acute{l} uchiwa \acute{l} .

— Śmierć Wojewodzinéj! była bardzo w porę! rzekł w duchu, gdy się rozchodzili wieczorem.

Marja z Ciotką poszły do swego pokoju, tam dopiero swobodnie rozmówić się, rozważyć nowe położenie swoje, pomyśleć o przyszłości mogły. Mało jest ludzi, którzy by od tak nagłej zmiany, zawrotu głowy nie dostali. Przejść w chwili z niedostatku dokuczliwego, do bogactwa, jest może najrzadszym wypadkiem i pomimo wszystkiego, co się pospolicie o wzgardzie pieniędzy mówi, najsilniéj dotyczącym; pieniądz tak zmienia człowieka! jego położenie towarzyskie, jego zalety, jego wady, jego zamiary, tak całkiem w nowém świetle stawia; wszystko się tak mieni z przybyciem jego lub brakiem!

Nie dziwnijcie się, że panna Scholastyka nawet, dla której przyszłości niewiele pozostało, całą noc wesoło się śmiejąc, i rozprawiając nie spała.

Marja słuchała jéj, rzadko wrzucając słówko i powtarzając tylko.

- To sen chyba! to sen!
- Ale nie sen, kiedy mam tyle pieniędzy w ręku! mówiła Ciotka.
- I czyli nie sen, to niepojętego coś.
- Pan Bóg spojrział na nas.
- Gorzej to czy lepiej?
- Ja nie wątpię że lepiej. O! jakże się wesoło mścić będę nad naszymi kochanymi sąsiadami!

I śmiała się i puszczala w domysły, przypuszczenia, projekta.

Śmierć Wojewodziniej, która tak nagle zmieniła dwie exystencje: kobiety obu im nieznanym, lecz nawet wycisnąć nie mogła. Wojewodzina najbliższa krewna Marij i Schołastyki, nie bawiła w kraju. Zimny przepędzała w Paryżu, a lato zwykle we Włoszech. Była to kobieta dawniej sławna z piękności, głośna z dowcipu i dziwnych życia wypadków. Dwa razy szła za mąż i rozwodziła się, nareszcie za trzecim owdowiała. W pięćdziesiątym roku życia była jeszcze tak piękną, że ci co ją znali,

nad trzydzieści kilka lat, nie mogli jęj przy-
 puścić. Piérwszy mąż zaniedbał ją i porzucił
 dla aktorki, drugi miał podobno słuszne po-
 wody proszenia o rozwód, gdyż Wojewodzina
 w kilka tygodni po sobie żyć z nim nie chcia-
 ła; trzeci, Wojewoda, kochał ją zapamiętale,
 bez wzajemności i zmarł jak młokos rozpacza-
 jąc, że łatwiej mu było rękę jęj niż serce
 pozyskać. Po śmierci trzeciego męża, Woje-
 wodzina wyjechała z kraju. Ale jakeśmy po-
 wiedzieli, była jeszcze w pięćdziesięciu leciech
 tak piękną, tak świeżą, że mnóstwo preten-
 dentów o rękę się jęj ubiegało. Ona nieprzy-
 jęła ofiary żadnego; wolała pozostać swobo-
 dną wdową. W ostatnich latach jakiś Markiz
 przebywał z nią we Florencij; i głośném było
 że miała mu cały majątek zapisać; nagła śmierć
 zniweczyła ten zamiar i wielką fortunę Wo-
 jewodzinęj, pomnożoną zapisami dwóch piér-
 wszych mężów, zwróciła na tych co się jęj
 najmniej spodziewali. Spadek więc na p. Scho-
 lastykę i Marję przychodzący, oplakiwanym

być nawet nie potrzebował dla przyzwoitości, był to jeden z tych niespodzianych wesołych spadków, co to się tak rzadko trafiają.

— Wyobraź sobie Marjo, mówiła Ciotka, zdumienie, osłupienie, zazdrość, konfuzją naszych kochanych sąsiadów. A! zapomniałam o Sewerynie, co z nim zrobimy.

Marja zarumieniła się, dawno ona pomyślała już o nim.

— Będzie to coś nakształt powieści Marmontela, dodała Scholastyka, cnota wynagrodzona! prześladowcy upokorzeni! Biedny nasz poczciwy Seweryn, jak że się rozraduje, zardziwi.

— Wczoraj odjechał tak smutny.

— Ciągłe mi powtarzał że go nie kochasz!

— Ciociu! przypomnij mu com mówiła wczoraj?

— Doprawdy, tak mi się wszystko w głowie zmieszało, że nie wiem.

— Mówiłam, gdybym była bogatą dzie-

dzieczką — jakże szczęśliwa narzuciłabym się jemu.

— Ani słowa przeciwko temu. Wątpię, żebyś kiedy pocziwszego i szlachetniejszego człowieka znaleźć mogła. Cała rzecz że on teraz może, cofnie się.

— Jakto?

— Najnaturalniej w świecie, póki mógł dać nie brać, stał przy nas, a teraz —

— Ale moja Ciocin!

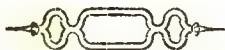
— A! moja Marjo! nie frasuj się wczesnie, będziesz miała w czém wybierać! Ty! Umieram ze śmiechu, gdy wspomnę, że i ja nareszcie pretendentów do mojej ręki, wielbicieli mieć będę. Spoglądam w lustro i nie mogę się wstrzymać od śmiechu. Wyobraź sobie Maryniu u mego boku, wzdychającego kochanka. Wszystko teraz będzie piękném, wyborném, doskonałym, ile to rozzumu, dowcipu, wdzięków nam przybyło!

O mój Boże, dodała z westchnieniem, jakiż

Tom II. Mil. pos.

to smutny byłby świat i ludziska, gdybym nie miała takiój dla niego wzdardy że mnie tylko rozśmiesza.

A koniec końcem dobrze się to stało. Będziem mieli wyborną komedją!



GOŚCIE — SĄSIEDZI

THE END OF THE WORLD

GOŚCIE — SĄSIEDZI.

Nazajutrz ledwie na dzień się zabierało, powrócił ekonom z miasteczka, wioząc zapasy jakich dom potrzebował. Wykupiono zastanowione sréberko i inne porządki. Panna Scholastyka nie spała jeszcze i przeżegnawszy Marję, która padła znużona na łóżko, nie rozebrana i rzucała się i płakała w śnie niespokojnym; sama wyszła rozporządzić się.

Teraz, o dziwy! wszystko szło jak z płatka, ludzie służyli raźniej, ochotniej, inaczej, w niczem najmniejszej niedoznawała trudności, koni, posłańców, sług nie brakło. Czarodziejsko składało się wszystko.

Dziwna gorliwość ożywiała wszystkich porząwszy od starego ekonoma, do chłopców dworskich; nowina ta zelektryzowała każdego i dwoila ludzi.

Scholastyka patrząc na to, uśmiechała się smutnie, jak nigdy w przeciwnościach, było coś npokarzającego w tej sile pieniędzy, porównanej z siłą obowiązków tak niewielką!!

Słońce wschodziło jasne, wyiskrzzone, świetne i świeciło na rosie pozawieszanej w trawach i liściach obficie; gdy posłaniec na zmęczonym koniu, dobiegł do wrót Górowskiego dworu, oddał karteczkę i uciekł. Panna Scholastyka patrzyła na to. Przyniesiono jej list. Był bez podpisu, i w tych słowach:

„Mnóstwo osób wybiera się dziś do Górów; nowina obeszła sąsiedztwo pioru-

nem, każdy teraz chce być pierwszym i zasłużyć się. Życzym rozpatrzeć się dobrze w tych, których podły interes napędzi państwem i rozeznać ich od prawdziwych przyjaciół. Prawdziwi nie czekali wiadomości żadnej i nic nie wiedząc o tém co ich spotyka, pośpieszyli by jedynie z potrzeby serca.

Prawdziwy przyjaciel."

List ten charakterem umyślnie zmienionym napisany, najpocieszniej wymyślony, miał tylko na celu, uprzedzić o przybyciu gromadnym sąsiadów i sztuczkę im wypłatać.

Łatwo się było domyśleć, że ktoś mający się za najbystrzejszego, najdowcipniejszego, pełnał posłańca rankiem, wcześniej rozpoczynając szkodzić drugim i zasługiwać się.

Panna Scholastyka przeczytała, uśmiechnęła się i pobiegła z listem do Marij.

— Pokazuje się, mówiła w duchu, że nie czekając dłużej, dziś jeszcze oblężenie się zacznie! Doskonale! Lecz cóż za bezwstyd, co za—

Ledwie tych słów domówiła i miała wejść wewnątrz do domu, gdy ryczenie bydła, zwróciło jęj uwagę. Od dworu pana Kulikowicza pędzono trzodę tryumfalnie. Ekonom jechał za nią osobiście i oddał list u bramy, list pisany na bibulastym, wielką pracą scyzorykiem ociętym papierze, w krzywój kopercie, z pieczęcią ogromną i intytulacją.

Jaśnie Wielmożnemu

W liście tym wymawiał się Kulikowicz że trzodę pod niechytność jego na odłogu zabrano, że nigdy w sąsiedztwie nieprzyjemności i sporów nie chciał być promotorem, że ją, zgromiwszy ekonoma, odsyła i przeprasza. Dodał nareszcie, że ufa iż JW. Krajczy potrafił ocenić postępowanie jego z sobą, pełne uszanowania i względów, dla Jego osoby. W dopisku krzywo i pośpiesznie dodano. Domowi JW. Pana składam najgłębsze uszanowanie.

— Wczoraj czy pozawczoraj oświadczyłam mu się, śmiejąc się rzekła w duchu Ciotka,

teraz gotów mnie wziąć za słowo — O! mój Boże jakże ci ludzie podli. —

Ekonom Kulikowicza miał dyspozycją czekać na odpowiedź i spytać czyliby pan Krajczy, mając gościa w domu, nie potrzebował czego?

Panna Scholastyka odpowiedziała z podziękowaniem tylko i odprawiła oficjalistę, który dawniej dumnie i krzykliwo mijał dwór Krajczego, a teraz zniżał się do kolan najpokorniej.

Ranek zbiegł na przygotowaniach i porządkowaniach w domu; Krajczy wstał i oddawna po raz pierwszy, miał ulubioną kawę w swoim starym srebrnym na krzywych nóżkach, podaną imbryczką. Stary na widok sprzętu tego, który mu dawne czasy przypomniał, rozplakał się.

Marja i Scholastyka tymczasem naradzały się. Jak postąpić z natrętami, którzy nie omieszkają, nadbiedz.

— Pomścim się najlepiej, zawołała Scholastyka.
Tom II. Mił. pos.

lastyka, każdego przyjmiemy jak najgrzeczniej, dając mu nadzieję najlepszą, kołyszając go piérwszeństwem przed drugimi; jak gdybyśmy dawniejsze przesładowania komu innemu przypisywały — a potem? — Osadzim ich na koszu i niech sobie siedzą szczęśliwie.

Ja piérwsza, rozplomienie dziś serca wszystkich i raz przynajmniej w życiu, pozwolę sobie słodkich oczek. —

Wiesz Marjo, wyborna rzecz, takie niespodziane dziedzictwo? Czego to człowiekowi teraz niewolno?

Około dziesiątej nie dalej, wystrojony w frak granatowy z złocistemi gózikami, w podobneż spodnie, kamizelkę jedwabną i halsztuk potężny, w rękawiczkach, nowych butach, a co najdziwniejsza z czystą chustką od nosa wyglądającą z kieszeni, nadszedł najpiérwszy Kulikowicz.

W ganku spotkała go już panna Scholastyka.

— Przyjeżdżam, rzekł całując ją w rękę

z przyciskiem sąsiad — wyekskuować się, przeprosić. Te bydlę.

— Wszakże odesłane, nie mamy najmniejszej pretensij, ale bardzo nam miło, szanownego sąsiada — widzieć.

Szanowny sąsiad wyrósł na cwierć łokcia, a spojrzawszy na uśmiechającą się i pełną niebiańskich nadziei, twarz Scholastyki, rzekł w duchu. —

— Dobra nasza! dobra nasza.

Kłaniając się więc i pogładzając włosy świeżo wodą zdrojową przymuskanę, wszedł do pokoju, w nadziejach najzuchwalszych, szczęśliwy! — Spojrzał w zwierciadło, a przywykły twarz swą widzieć nieogoloną i brudnymi gałganami otoczoną, znalazł ją promienną blaski dziwnemi, wytlumaczył sobie pięknością własną, uprzejme przywitanie.

— Wolalbym pannę Marję, rzekł, ale zobaczemy. —

Ciotka wysilała się na zdradzieckie grzeszności, Kulikowicz rósł jak na drożdżach i

szalał — Seiskał Krajczego, który zrozumieć nie mógł, zkadż mu tak nagła przyszła czułość, przystawiał krzesła, dowcipkował, śmiał się, parskał, słowem był tak doskonale śmieszny, że można było wybornie za biletami pokazywać.

Czoło się jego schmurzyło dopiero, gdy pierwszy powóz zaturkotał u ganku.

Druga wizyta! Dwóch Doliwów —

Stary Doliwa w zielonym wice-mundurze z krzyżem, ogolony prześlicznie, czupryna do góry, kapelusz odwieczny w ręku, laska z ogromną gałką (prezent synowski) żabot świeży na piersiach, uśmiech w spalonych od fajki ustach. Pan Teodor cały w garderobie Warszawskiej, obcisło, spięto, obciągnięto, pachnąco, wytwornie.

Włosy szczególnem staraniem ustrzeżone, ułkowane, popodstrzygane

Stary kocz umyty, odświeżony. Konie w wyszwarcowanych chomątach, brązy cegłą wypolerowane; słowem jak z igły. Zobaczyćw-

szy to ciotka położyła się prawie od śmiechu na kanapie. Doliwowie bowiem byli w istocie najzaciętszymi przewódcami wszystkich przesładowań sąsiedztwa. —

— Pani, rzekł sentymentalnie Kulikowicz — o! co robią pieniądze, jacy teraz grzeczni!

— Zażartujemy i my z nich! odpowiedziała Scholastyka.

Gość, który to poufałe zwierzenie wziął za dowód łaski, zatarł ręce i uśmiechnął się złośliwie. Drzwi się otwarły i przybyli weszli. Stary Doliwa tak po nierównej posadce śpieszył się do ucałowania rączek, tak był kordjalny, affektu pełen, że mu się przejętemu rolą swoją, łzy w oczach kręciły. Scholastyka dygała, wdzięczyła się, dziękowała i brała grzeczności za dobrą monetę.

Raz tylko namarszczył się stary i młody, a to gdy ujrzeli Kulikowicza, wyświeżonego jak na wielkanoc i już pierwój od nich przybyłego. Sklonili się sobie wzajemnie, ale z zaciętymi usty.

Teodor dumnie i szydersko, stary złośliwie, Kulikowicz filuternie.

Ciotka poszła wezwąć Marij i Szarzyckiego. — Chodźcie na komedję, rzekła, już się sąsiedzi zjeżdżać poczynają — Na Boga cię proszę, Maryniu, Maryniecuku, nie kochaj wszystkich i bądź tak grzeczna. tak grzeczna, żeby każdy miał nadzieję, żeś tylko na niego czekała.

Marja rozśmiała się serdecznie. —

— Chodźmy! chodźmy!

Przez czas niebytności panny Scholastyki, goście poszli przywitać Krajczego i obsypali go grzecznościami. Stary płakał i ścisnął powtarzając:

— Mój mości dobrodzieju! mój mości dobrodzieju!

Doliwowie mdawali by byli chętnie, że o sukcesij niewiedzą nic wcale, ale im Kulikowicz zawadzał, młody zaraz porachował się, że już z téj beczki zaczynać nie było można; ale stary raz wytkniętej przez żonę trzymając się drogi, nieopatrzył się dobrze

i w chwilę potém, gdy Ciocia z najzimniejszą krwią zaczęła opowiadać o spadku, wykrzyknął.

— Doprawdy! my nie o tém niewiedzieliśmy!

— Jako panie! kiedy wczoraj, przerwał nie-
litościwy Kulikowicz — Hasling w domu pań-
stwa tę nowinę zwiastował!

Stary Doliwa zakrztusił się, zapyrzył, młody drgnął na krześle, a Kulikowicz zwycięzko prychnął. Ciotka wstrzymywała się od śmiechu jak mogła i zatarła ten pocieszny epizod.

Wszakże humory Doliwów, wielce za nim szwankowały i gdyby nie jądrzące i podbudzające wspomnienie milionów, możeby się już cofnęli. Ale Ciocia była tak uprzedzająca, grzeczna, tyle słodkich komplementów powiedziała im obu, Krajczy tak ich wyściskał — że odwagi nabrali. Teodor zbliżył się do Marij i kołatał dowcipnemi słówkami do jéj serca.

Pozostawało staremu Doliwie, wedle dyspozycji żony, od której nie ważył się, spuszcza-

jąc na swój rozum, nigdy odstępować, pozostawało mu wymówić się jeszcze, na cudze karki zrzucając, z dawnych niegrzeczności i prześladowania. Począł więc kołować, chodzić, deptać i zawracać tak zręcznie, że nareszcie dopadł przedmiotu i wykrzyknął.

— O! Jakże boleliśmy, o! jak cierpieli!

— Wierzym temu najzupełniej i nigdyśmy najmniej o uczuciach ich nie wątpili, zawołała Scholastyka. —

Doliwa rzucił okiem radosnym na Kulikowicza, a w wejrzeniu ich, taka nienawiść się odmalowała, iż najmniej biegły, wyczytałby z niej, grożącą w przyszłości burzę.

Zabawiwszy kilka godzin i śpieszny interes wymyśliwszy, Doliwowie, uradowani wsiedli do kocza i odjechali.

Za bramą, ojciec zdjął wice-mondur a włożył taratatkę płócienną, syn zamienił wytworną garderobę warszawską, na bluzę domorostłą i poczęli się wzajemnie pocieszać.

— Co za osoba pełna rozsądku, gustu, do-

weipu! ta ciotka! co za kochany ten Kraj-
czy!!

— A Marja papo!

— O! wiem że ci w oko wpadła! widzę
widzę, a i ona ci się uśmiechała!

— Zdaje mi się —

— Byliśmy najlepiej, nalepij przyjeci —

Oni i na chwilę nas nie posądzali o te głu-
pstwa —

— Widocznie —

— Ale Kulikowicz! O! łotr! poczekajno! da-
my my się jemu we znaki. Tak mnie skon-
fundował niegodziwie. —

— Uważał papa, jak to grzecznie panna
Scholastyka zatarła?

— Mówię ci że to jest najgodniejsza oso-
ba — co za takt! Słowem interessa na naj-
lepszej stopie. A Kulikowicz! poczekajno —
kiedy ty tak, to i my wiemy co robić! — Da-
my ci fernepiksu!

Zaledwie przebrawszy się na powrót siedli
do kocz, spotykają Haslinga — Gniew i śmiech

razem ich bierze; a było przynajmniej śmiać się z czego.

Stary i dwóch młodych, jak śledzie na bryeczce upakowani, jechali do Górowa; stroje wszystkich okazywały wielką podobania się pretensją. Stary Hasling, który się nie tail, że myślał o Scholastyce: kraśniał jasną kamizelką, chustką, zielonym frakiem, profuzją dewizek na żołądku. Młodzi pofryzowani, z polepionymi wąsami, w ciasnych butach, wydawali się jak woskowe figury, na pokaz ubrane. Szpilki sióstr paradowały na chustkach i kołnierzykach. W twarzach dwóch braci, zazdrość wzajemna i milczący gniew się malował.

Spotkawszy się z Doliwami, namarszczyli. Doliwowie rozśmieli z politowaniem.

— A! i panowie do Górowa! rzekł stary.

— I panowie z Górowa! zawołał Hasling. Powitali się, jak by się pozjadać mieli.

Kulikowicz także powracał do siebie i nadszedł na to.

Wziąwszy się za boki, stanął na drodze, i śmiał na głos cały.

— Co to pannu, rzekł Hasling.

— A! jakże się nie mam śmiać! I panowie tu. — Dziś wszyscy jak do cudownego obrazu do Górowa się zjechali! Czy odpust! czy co!

Nieodpowiedziano mu nic, bryczka potoczyła się dalej.

Oczyściwszy się w ganku z pyłu i błota, weszli.

Marja pomimo jakiegoś niepokoju i smutku co ją dręczył, musiała na widok tych trzech odwiedzin uśmiecchnąć — Ciotka trzymała się serio i poważnie jak mogła. Pan Szarzycki patrzył i oczom nie wierzył.

— Państwo mieliście wiele miłości i szacunku w sąsiedztwie, rzekł za trzecią wizytą, do Scholastyki — wszyscy śpieszą dzielić ich szczęście i winszować.

— Jak pan widzisz! odparła Ciocia, bardzośmy szczęśliwe z sąsiedztwa!

— Haslingi ndawali jak umieli, że nie o żadnym wypadku nie wiedzieli, odmalowali swe odwiedziny, jako dawne należne uszanowanie dla domu, któren czcili wysoce.

— Jesteśmy o tém najmocniej przekonane.

Hasling przysiadł się do Ciotki, dwaj paniche oblegli Marją: rzucając na siebie zjadliwe i pełne wzgardy spojrzenia. Ale Marja znużona wyjść musiała i rzucić ich na pastwę Krajczemu, który ich usadowił na kanapie i zajął rozmową o swoim lesie i masztowych sosnach, w nim obfitujących. Scholastyka zaś tak niezmordowanie, serdecznie starego uściskała Haslinga, że pod koniec rozmowy, wdowiec najpewniejszy był, iż serce jęj posiedzie, bez najmniejszej trudności. Wyciągnawszy więc kołnierzyki wysoko i potarłszy bokobrodów, począł już spokojny bawić dla przyzwoitości, Pana Szarzyckiego i trochę go badać.

Miano obiad podawać, gdy koczobryk panów Pokotyłów, spóźnionych z powodu złamania sztelwagi, którą dorabiać musiano, ukazał się w ulicy.

Spotkali się oni w drodze z Doliwani i Kulikowiczem i prawie pokłócili.

— Osobliwsza rzecz! zawołał nieumiarkowany Doliwa, jak teraz wszyscy się ciągną do Górowa.

— Prawda że to osobliwość! odparł Pokotyło. — Panowie już wracają, rano wstali! Chacha! Jak to fortuna wszystko zmienia! A dawniej co to się wyrabiało w kościele? —

— Pan Fabjan najlepiej to wie!

— Nie lepiej od pana Teodora.

— Osądzą to w Górowie. —

— Osądzą. —

— Życzym sukcesów! szczęśliwej drogi!

Dalej spotkał ich i zatrzymał Kulikowicz, ale nie śmiechem już, tylko gniewem.

— I oni jadą! i oni jadą! zawołał — to już dziś cały świat będzie w Górowie.

— Cóż to, wać panu tylko wolno? spytał Poręcznik — Przecież nie myślisz w swoim długu tradować Scholastyki i Marij!

— Kto to wie, komu co przypadnie! — A po-

śpieszajcie, bo tam i Haslingi już siedzą! Żywo, żywo, żeby panny nie pouciekały.

W dość złym humorze, Pokotyłowice zajęchali, ale Scholastyka niezmordowana w grzecznościach, potrafiła obu rozruszać.

Przy obiedzie, po kilku wina kieliszkach, porucznik rozjątrzony niegrzecznością Doliwów i Kulikowicza, wyprowadził na scenę, dawne niegrzeczności, zwałając je na nich. Haslingi potwierdzali, zostawiając sobie na później, złożenie winy choć w części na Pokotyłów...

— Państwo nie wiedzą co to są za ludzie ci Doliwowie? rzekł animując się porucznik — Ludzie niebezpieczni!

My najlepiej ich znamy, żyjąc w jednej wsi, panu Bogu wiadomo, co od nich doznajemy — Jeżdżą koczem i chomąty w brązach, a długi przez wierzch głowy. Sama całym domem kręci, męża za nos wodzi, na panią choruje, mąż tylko fajkę pali pod piecem i słucha co mu każą. Syn próżniak, Warszawianin, świszczypałka.

— Niby to ma talenta, dodał pan Fabian, młóci po fortepianie, ale kiedy przyjdzie do tańca zagrać, taki bez mojej muzyki się nie obejdzie. Mógłbym przekonać, bo Janek zawsze z floterwersem jeździ i gdyby państwo pozwolili. —

Ciotka zajała swój śmiech chlebem, a pan Fabjan schował muzykalny popis na drugi raz.

Zalecania się najpocieszniesze, i obmowy niepolamowane i obiad i po obiedzie zajęły. Pokotyłowie nagradzając sobie późne przybycie, najdłużej zabawili.

Haslingowie nie chcąc ich zostawić póty siedzieli, póki i tamci nie ruszyli się do wyjazdu. Komedja panny Scholastyki, zaczynała ją nawet utrudzać, a pan Krajezy i Szarzycki, poszli spać nie mogąc końca jej doczekać.

Nareszcie poglądając jedni na drugich, mnąc czapki w rękę, Pokotyłowie pożegnali i odjechali. Za niemi Haslingi. Można było ode-
tchnąć.

Kulikowicz na grobli do dworu wiodącej

stając, oczekiwał ich z nowymi żartami i przyjaciółkami. Tém zaś zjadliwiej szydził, im bardziej był niespokojny z powodu przeciągnionych odwiedzin. —

Pożegnano się wcale niegrzecznie i każdy do domu pośpieszył; każdy w najróżowszym zresztą humorze i najlepszych nadziejach.

Intryg tylko wszyscy zarówno zdawali się obawiać. Zaledwie w domu każdy począł rozmyślać głęboko nad tém, jakby drugich usunąć i pozbyć się współzawodnictwa.

Marja cały dzień oczekiwała Seweryna.

Mimowolnie sąsiedzi się wygadali, że był u państwa Doliwów, kiedy pan Hasling przybył tam z wieścią niespodzianą.

A więc wiedział o szczęśliwym wypadku?

Przybieży, przyjedzie podzielić się naszą radością, mówiła w sobie Marja dzień cały.

I każdy turkot powozu, każde drzwi odemknięcie, odwracało jęj spojrzenie, omylało ją nadzieją próżną, przybycia Seweryna. Nareszcie całe sąsiedztwo przesunęło się wystar-

wując na śmiech politowania, z pośpiechem niepojętym biegąc dnia jednego tam, gdzie od lat kilku nie bywał nikt; wieczór się zbliżał, Seweryna nie było.

Marja musiała powiedzieć sobie — Nie przyjedzie! I dodała — A — więc jutro!

Ale i jutro całe przeszło na rozmowach z panem Szarzyckim, porządkowaniu i oczekiwaniu. Tylko pani Doliwowa uznała za słuszne swoją przytomnością Górów zaszczyścić.

Jakże była miła, czuła i słodziutka dla Scholastyki, z jak macierzyńskimi uczuciami dla Marji! to się opisać nie daje! Jój pargaminowa pomarszczona twarz, wiecznie łagodnie się uśmiechająca, tym uśmiechem kłamanym co nikogo nie uwodzi, i tego dnia jeszcze heroiczniejszą anielską oddychała słodyczą.

Jój usta zacięte, ciągle się ku uszom przeciągały, a płowy wzrok wygasłych oczu, latał na szpiegi —

Odwiedziny nie były daremne. Przebiegła kobieta, wzięła do serca co jój Teodor mówił.

wił, o pierwszeństwie Seweryna w tym domu. Nie nie odpowiedziałwszy na to synowi, pojechała osnuwszy projekt wygadania w pół cichu pannie Scholastyce wszystkiego, co tylko najzjadliwszego na niego w sąsiedztwie chodziło.

O kimże źle nie mówią? Jedno słówko wyrzeczone, rośnie jak lawina w górach Szwajcarskich i wzrasta w olbrzymią plotkę, która jak lawina!! — zasypuje czasem całe familje i niszczy na wieki spokój całych rodzin. W sąsiedztwie chodziły dwa tłumaczenia processu Seweryna z Hrabią, z powodu Anusi i odwiedzin świeżych w Śliwinie, ze sławną mistyfikacją, przerobioną do niepoznania.

Pani Doliwowa zgrabniutko naprowadziła rozmowę na Seweryna i poczęła najprzód wychwalać jego rodziców, z uczuciem głębokiem.

— Co też to byli za zacni ludzie! w jakiej z nimi żyliśmy przyjaźni. Sama—anioł dobroci i poświęcenia! A jak wychowywali to dziecko, z jakim staraniem, troskliwością, i ofiarami!

Nie ich dla dopięcia celu tego nie kosztowało. To też — dodała głębiej jeszcze z uczuciem wzdychając — stracili wszystko. Ale mieli pociechę, doczekać się owocu swych starań w synie, któren jest młodzieńcem pełnym nadziei.

— Cóż to się jój stało? pomyślała Scholastyka, że go chwali?

Ale zaraz dodała pani Doliwowa.

— Jakże mnie martwi, że zdaje się schodzić z dobrej drogi. —

— Jesteśmy u celu — rozumiem — pomyślała Ciotka. Marja była tuż blisko, i zdaje się że rozmowę wymierzono, aby ja i ona słyszała, a choć dalszy ciąg opowiadania półgłosem i w sposobie zwierzenia się nastąpił; nie mogła nie słyszeć go, ujęła tuż bliską robotę Marja, której uwaga imieniem już Seweryna obudzoną została.

Opowiadanie Jejmości, chociaż tyczyło się w części znanego wypadku, wszakże tłómaczyła go dla Górskich mieszkańców wca-

le w nowy sposób; a choć nie mieli ochoty wierzyć w prawdę słów kochanej sąsiadki — któż z nas mimowolnie nie ulega często złemu, jakie się o uszy jego o osobach najdroższych mu obija?

— Wielka szkoda chłopca — mówiła sąsiadka — przez przywiązanie dla jego rodziców, mogę powiedzieć obchodzi mnie, jak własne dziecko — Ten Hrabia go zgubi.

Już i pierwsza sprawa, nie była całkiem czysta, rzekła potrząsając głową i zcich niby, a tak mierzając głos, żeby niby nie dla Maryi mówić, a przecie dać się jój słyszeć. Ta Anusia nie była na nieszczęście obojętną. Ale tego rodzaju fantazje, w jego wieku się przebaczą. Ludzie to okrywali i ja sama najpierwsza, exkuzowałam go, jak mogłam, ale między nami mówiąc, miał się do téj tam Anusi. Była u niego we dworze i niewyśmienicie wyszła. — No! ale to zawsze wybaczone młodemu i rzuconemu tak bez opieki, bez przewodnika.

Biedny chłopiec! To gorzej że teraz się zaprzyjaźnia z Hrabią. — A wiadomo co za jeden nasz pan Sliwiński! Sodoma i Gomora u niego! Seweryna tam ciągną, poją, i w takiem towarzystwie wiadomo że nie do czego dobrego się idzie. Pani słyszała co się zdarzyło, kiedy Hrabia nogę zwichnął i Seweryna tam uprosił jako trochę Doktora?

— Wiem tylko że pojechał, odpowiedziała zimno Scholastyka.

— Ale to wyborna komedja! Muszę pani opowiedzieć, choć i tę trochę — Ale — muszę powiedzieć kiedy już wspomniałam, żebyś pani nie myślała że to co jeszcze gorszego. Pokazuje się że Hrabia musiał tam podpoić swego lekarza. — A jest tam (to pani zapewne wiadomo?) faworyta Hrabiego, niemka, nieszpeta dziewczyna, bezwstydną zalotnica, jak się pani zaraz przekona. Seweryn wtedy chłopiec, widać że podpojo-ny i podjurzony począł jęć robić grzeczności, awanse. Niemce też tego tylko i po-

trzeba. Słowem pani Dobrodzijko, poczyną go intrygować, zaczepiać, korzystając z tego że hrabia leży w łóżku, że zwicznęta noga i ruszyć się z niego nie może. Już nie wiem jak to tam było (tu zniżyła głos znown) ale pan Seweryn, znalazł się w jęj pokoju, a co gorzję w jęj — łuzku! Uważa pani co to za paskudna kobięta!

— To być nie może: zawołała ciotka —

— Ale jak mnie pani żywą widzi — J to jeszcze nie koniec — Hrabia dowiaduje się o tēm od sług, czy od Wiły — idą i zastają go —
Scena —

Panna Scholastyka powstała, chcąc przerwać opowiadanie, które ją oburzało i widząc uciekającą Marję do drugiego pokoju, w tēm pani Doliwowa, znown wzdychając dodała.

— Co za szkoda chłopca! Zgubi go to złe towarzystwo! Ale to jest coś we krwi, i ojciec był także kobięciarz niepomiarkowany, ty się mają awantur. —

I z pod oka rzucając wejrzenie na pannę

Scholastykę spostrzegła Sąsiadka oburzenie, zdziwienie i nieukontentowanie malujące się na jej twarzy.

Cel był dopięty, potwarz rzucona, rozmowa odwróconą została na inny przedmiot.

Marja w swoim pokoju gorzkimi łzy płakała! Słyszała wszystko.

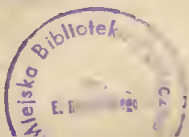
— A! wiem teraz dla czego nie przyjeżdża, wiem — pewnie mu weselój w towarzystwie Hrabiego i panny Tekli — O! niech się bawi! nie chcę go widzieć, niech nie przyjeżdża więcej! Zapomnę o nim — wyrzeknę się go.

I płakała.—

Pawóz pani Doliwowój, która bardzo bolała nad tém że się z Marją pożegnać nie mogła, wytoczył się w téj chwili z dziedzińca i Ciotka weszła do pokoju — Marja otarła szybko zapłakane oczy.

— Co ci to? spytała Scholastyka —

— Nie Ciociu! trochę głowa mnie boli.



— O i mnie także, to kochana Sąsiadka
 rozbiła mi ją plotkami. Biédny Seweryn, wzie-
 li go na zęby. -

Marja nie nie odpowiedziała.



TEKLA DROLLING.

THE
JOURNAL OF THE
AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION
PUBLISHED WEEKLY
CHICAGO, ILL., U.S.A.
1917

TEKLA DROLLING.

Hrabia ze spuchłą jeszcze troche nogą leżał ubrany na łóżku w swoim pokoju. — Jedną ręką podtrzymywał głowę wzniesioną na poduszkach, drugą bawił się uszami przepysznego wyżła kurlandskiego, który mu łapę po ufale położywszy, mordę spartłszy na niej, w oczy poglądał. Firanki rozsunięte wpuszczały pomarańczowy blask zachodzącego słoń-

ca. Pusto było w pokojach, w sypialni tylko otaczali łoże pańskie, Rotmistrz Wiła, Durczyński i trzech pomniejszėj podkomendnej hałustry.

Zegar wybił dziewiątą.

Hrabia ziewnął głośno, Durczyński zawołał.

— Dziękujemy!

— Za co u licha?

— Za poziwanie JW. Grafa — Jest to dla nas bawicieli jego dowodem, jak skutecznie na polepszenie humoru wpływamy.

— Nudzisz mnie konceptami swemi mój Durczyński — Sto razy słyszałem to podziękowanie i sto razy pytałem cię o znaczenie i sto razy zawsze mi jedno odpowiedziałeś — Strasznie się powtarzasz! Nudzisz mnie — nudzę się.

— Nudzim się! cichutko rzekł stary.

— A to idź do diabła! odparł Hrabia —

— Gdybym drogę wiedział?

— Poszedłbyś?

— Poszedłbym, bo jak mnie JW. Pan odpędzisz, chyba djabeł mnie przyjmie. Stary, głupi, niedołężny. —

— Dodaj nudny, mój Durczyński —

— A więc i nudny? Gdzież się podzieje?

— To prawda! Siedź więc sobie gdzie za piecem i motaj na palec nowe koncepta, ale mi się ze starymi nie popisuj!

Durczyński szturchnął swego sąsiada, którego pospolicie zwano w języku dworu i znano pod nazwiskiem (na które się wabił nawet) Gapimuchy —

— Waćpan mnie zastępuj.

Gapimucha smieszył Hrabiego swoim głupstwem jak pierwszy mniemanym dowcipem. Był to wysoki, chudy, z rękoma ogromnemi, nogami półlokciowemi, szyją długą, nosem sterzącym i peruką rozstrojoną, zawsze otwartą gębą, młodzieniec, któremu nie piątój, ale wszystkich pięciu brakło klepek. Posłyszawszy że miał zastępować tego, którego za Salomona uważał, cofnął się przełęknięty i począł się,

tulać w kułak śmiech, tak śmiać, tak śmiać, że pantomina i przeraźliwym chichotem rozśmieszył pana Grafa.

Towarzysze wypchnęli go na środek.

— Zastępujesz dzisiejszy wieczór Durczyńskiego, bierz że na pazury, rzekł mu Wiła—
Hrabia zawołał — tańcuj!

Gapimucha, uciekł do kąta—

Cała ta scena, passowania się, wypychania, śmiechu, wprędce znudziła pana.

Ziewnął powtórnie szeroko.

Durczyński milczał.

— Czemuż nie podziękujesz, spytał Hubert.

— Nie ma za co!

— Co za nudy! co za nudy! powtórzył gospodarz wyciągając się.

— O nie tylko tę nogę obwiniać potrzeba—

— Noga moja mało mnie bawiła — przerwał Graf.

— Ale ona nie daje się ruszyć, wyjechać—

— Nudziłbym się wszędzie jak się nudzę tutaj. Bo do stu kaduków od niejakiego cza-

su nic mnie nie zajmuje, nie bawi — Polowanie, konie, wy wszyscy, —

— A kobiety?

— Wszystkie kobiety są jedną kobietą — odrzekł pan, tylko coraz inna maska.

— A panna Tekla?

— Przejadła się i ona! szepnął Wila —

— O i jak! A ruszyć się nie mogę żebym się z jęj czułością nie spotkał — Żeby też nie nowego na świecie znaleźć już nie było można?

— Ja myślę, że znalazłoby się — rzekł Rotmistrz.

— Naprzykład?

— Potrzeba by pomyśleć:

— Podróż za granicę?

— A miałem ich dość! wszystkie kraje są jedną ziemią, a trochę odmienną dekoracją i różnemi aktorami jedną grającemi komedją. —

— Polowanie?

— Fi! rzecz stara jak świat i nudna jak świat!

— Konie?

— Wyborna zabawka dla masztalerzy i *gentleman-riders* gdzie się można zakładać, latać i przynajmniej kark skrócić. — Ale u nas?

— Żadna nowa twarzyczka!

— Wszystkie mówiłem ci są jedną kobietą. —

— Do licha! rzekł Wiła, to już mi się przebiera — ale — Co się tycze kobiet.

— Daj mi pokój. — Tekla mi obrzydziła wszystkie.

— Hrabia chcesz się jęj pozbyć?

— Alboż jest sposób?

— Tysiąc —

— Wiesz to by mnie mogło zabawić!

— Doprawdy? a więc co zaszkodzi spróbować?

— Rotmistrzu, nadto się ryzykujesz! podejmujesz się rzeczy nie podobnej!

— Hrabio! nie ma niepodobnego dla człowieka, który ma silną wolę —

— Hm? myślisz?

Rotmistrz wskazał dworowi aby się usunął, i na dany znak czereda cała pod przewodnictwem Dureczyńskiego, który maszerował majestatycznie-błazeńsko, wysunęła się za drzwi.

— Myśl mi przyszła wyborna—Panna Tekla sama wyjedzie.

— Jakto? rozkochasz ją?

— Ja! uchowaj Boże!

— Ożenisz się z nią?

— Panie Hrabio, poświęcenie moje dla niego, nie sięga tak daleko —

— Cóż u licha!

— Będę Hrabiego żenił!

— Mnie! cha! cha! wiesz myśl doskonała! mnie! mnie! ożenić! A z kimże?

— O! partja wyborna, panna miljonowa.

— Hrabia nie nie wiesz, a ja dopiero dziś o tém języka dostałem — wielkie odmiany zaszły w sąsiedztwie, — Wszyscy są na stopie wojennój — Ważny zaszedł wypadek. Dwie panny Górowskie, Siostrzenica i Ciotka.

— A! też same —

— Też same, niestety! otrzymały bajeczny ogromny miljonowy spadek, po krewnej zmarłej we Włoszech. —

— Jakić?

— Wojewodzinie

— Rozumiem! Nie wiedziałem że to było tak bliskie pokrewieństwo? Rotmistrz! zleśmy zrobili!

— Żle ale się stało, będziemy się starać poprawić. Jak skoro Sąsiedzi dowiedzieli się o tém: obojętność, nienawiść, niegrzeczność zmieniły się nagle w żarliwą przyjaźń, serdeczną sympatją i nadskakiwanie do śmieszności posunięte.

Od dni kilku wszystko co żyje jeździ, intryguje, rusza się, wysiła na pozyskanie drogi przyjaźni.

— A! i chcesz mnie razem z tém towarzystwem posłać do Górowa?

— Hrabio gdyby tylko uczciwy pretekst wynaleść.

— Niepodobna!

— Mnie się zdaje że znajdziemy —

— Zmilkuj się, a okrył byś mnie śmiesznością.

— Sztuka na tém, żeby uniknąć śmieszności. Widzisz teraz Hrabio myśl moją. Panna Tekla słysząc o odwiedzinach, staraniu i projektowanem małżeństwie rozgniewa się i—

— Zrobi scenę, rozplacze się i zostanie na miejscu—

— Być nie może! wyjedzie — niechybnie! Duma jój się poruszy—

Hrabia zamyślił się—

— Probój Rotmistrzu, rzekł, ale cię uprzedzam, że nie pojadę do Górowa okryć się śmiesznością, jak te szerepetki. Potrzeba mi pretekstu, które by te odwiedziny usprawiedliwił w oczach moich najprzód, potem w oczach wszystkich. — Inaczéj nie ruszam się z miejsca. Powtóre, będzie to tylko sposób pozbycia się panny Tekli — ale żenić —

— Któż to radzi? spytał Rotmistrz —

W istocie przeciwne było interessowi Pana

Wiły, ożenienie Hrabiego — Każda kobieta była by się natychmiast tego doradzczy i zrzecznego faktora pozbyła; przy każdej straciłby część téj władzy w domu, z której wybornie umiał korzystać. Nie myślał więc Rotmistrz wcale żenić Huberta, ale chciał wyprawić pannę Teklę, której wpływ długim pobytem, słabością charakteru Hrabiego wzmagający się, zaczynał stawać groźnym. Klucze, kassa, zarząd domowy, powoli nieznacznie przechodziły z rąk faworyta, w ręce faworyty, trzeba więc było usunąć niebezpieczniejszą co dzień rywalkę. — Projekt pana Rotmistrza oparty był na znajomości charakteru niemki, dumnej w głębi i tém dumniejszej, że położeniem swem upokorzonej. Dla pojęcia téj pozornéj sprzeczności charakteru ze stanem panny Tekli, musimy dać wam poznać jój przeszłość.

Panna Tekla Drolling, była rodem z Wiednia, z tego Wiednia, w którym tak łatwo o piękne kobiety, a tak trudno — nie mówmy

lepiej o co trudno. Matka jej była żoną ubo-
giego officera, który całe życie strawiwszy na
służbie, wysłużył wreszcie rany na starość.
Smutny osiadł ojciec jej w Wiedniu niewie-
dząc co począć; bo ośmioro dzieci obsiadły
go prosząc chleba powszedniego! Drolling nie
im dać nie mógł nad ubogie utrzymanie i nie-
pewną nadzieję polepszenia bytu. Nieustan-
nie zaprzątniony myślą umieszczenia gdzie swo-
ich dzieci kosztem rządu, całe życie trawił na
pisanin i podawaniu bezskutecznych prośb
z którymi wartował u drzwi wszystkich moż-
nych—ale napróżno!

Zwątpiwszy po kilkoletniej warcie w przed-
pokojach ministrów, aby co z tych starań przyjść
mogło, Drolling zaczął dawać lekcyę fechtów.

Ale płacono mu tak tanio!

Nędza zaglądała uchylając drzwi do domu,
w którym codziennie rosły dzieci, ubywało gro-
sza, przybywało długów i ciężarów, zmniejsza-
ło się nadziei. Trzy córki, pięciu synów
po śmierci matki, zostały na wyłącznej pie-

czy starego Drollinga, który fechtował się z uczniami swemi i z biędą jak mógł, ale bięda często go *dotykała*. Starsza córka Róża, wzięła zarząd gospodarski domu.

Róża była piękna, jak Tekla, jak Adelajda, ale najzależniejsza ze wszystkich

Jój przykład stał się wzorem dla młodszych siostr.

W domu wprawdzie mniej niedostatek czuć się dawał, ale co się działo za domem? z kąd płynęły pieniądze, stroiki, protekcyje i nieznan dotąd przyjaciele?

Róża nie mówiła, ojciec się też niepytał; tylko czasem wieczorem sparsłszy się znużony na komodzie, wpatrując w portret nieboszki mruczał.

— Dziwna rzecz! miałem ją całe życie za dobrą gospodynią, a przecież za Róży, daleko dostatniejsi jesteśmy, choć nie więcej nie mamy a więcej daleko potrzebujem! Dziwna rzecz!

Stary, nie uważał że Róża, całe wieczory

pędziła za domem, na przechadzkach, wracała czasem w nocy i nieraz odprowadzaną była przez nieznaną młodzież, aż do drzwi mieszkania na trzeciem piętrze.

Nikt przecie z tej młodzieży nie ukazywał się jako starający o jej rękę, nie bywał w domu i nie poznawał z kapitanem Drolling. Gdy Tekla podrosła, poczęła ją z sobą brać na przechadzki Róża. — Ale łatwe zaloty, niepodobaly się dziewczynie, która naczytawszy się, jak tylko czytać potrafiła, książek miłosnych, wielką kupą po matce pozostałych, chciała kochanka i wyglądała dziwnych przypadków.

Los jej życzeniom uczynił zadosyć.

Naprzeciw domu, którego trzecie piętro zajmowali Drollingowie, był paradny Hotel Wenecki.

Mnóstwo cudzoziemców w nim stawało. Jednego ranku, karetą szczęśliwie kołami ciągniona z hukiem zatoczyła się pod kolumny i Róża z Teklą, ujrzały wysiadającego z niej mężczy-

znę jeszcze świeżego i prawie młodego, którego z pokłony gestami, gospodarz na pierwsze piętro zaprowadził, installując w najparadniejszym apartamencie. Mężczyzna ukazał się wkrótce w oknie, ujrzał trzy piękne siostry Drolling twarzyczki, ciekawie ściągnięte w jednej ramie i uśmiechnął się. Róża niekła, dwie młodsze pozostały.

Wieczorem starsza wiedziała, że przybyły do Hotelu nieznajomy podróżny, był bogatym polskim grafem.

Wzięła Teklę pod rękę i wyszły na przechadzkę. Zaledwie ukazały się we drzwiach gdy z przeciwnej strony — traf czy wola! — sprowadziła Hrabiego Huberta. Z początku trzymał się w pewnym oddaleniu, ale Róża tak często się na niego oglądała, że w końcu zbliżył się do nich.

Tym sposobem zrobiono znajomość.

Hrabia dowiedział się kto były nieznajome i pytając czy może je odwiedzić, odebrał odpowiedź zabraniającą. Róża odmalowała mu

ojca swego Fechnistrza, najnniewinniejszą w świecie istotę, jako najsroźszego tyrana.

Komuż by to pytam, apetytn nie dodało? Hrabia poezął siedzieć w domu, patrzeć oknem i pilnować przechadzek Róży i Tekli.

Z Różą prędko zrobiona ścisła znajomość, czuła przyjaźń i poufałe stosunki. Ludzie mówili (czego też ludzie nie mówią) że go wieczorami odwiedzała w Weneckim Hotelu, ale z Teklą nawet rozmowy zawiązać nie potrafił.

Tekla, której wyobraźnia grała, za każdą nową, blisko zjawiającą się postacią, widząc Hrabiego nadskakiwania; wzięła je za znak przywiązania heroicznego, platonicznego ku sobie! — zakochała się — Róża tym czasem — ale zostawszy się na boku.

Jakkolwiek nieśmiała i uczuciem onieśmiona jeszcze, Tekla przecież wejrzeniami gorącemi dała poznać Hubertowi, co w niej wzbudził.

Nauczony taktyką Róży, chciał Hrabia zbli-

żyć się od razu poufale do siostry, ale także się zdziwił, gdy tu całkiem inne usposobienia i stan rzeczy! Tekla traktowała go jak kochanka, nie jak zalotnica. Zdumiał się Hubert, a pochlebiała mu ta miłość piętnastoletniej, niewinnej dziewczynki.

Róża postrzegła łatwo, co się koło niej działo, ale nie była zazdrosną i postanowiła siostrze pomagać; myśląc w duchu że jeżeli jej w domu nie stanie, lżej będzie wszystkim, że się z nią może Graf polski ożeni, że ona familią wesprze. Z resztą malowała sobie jak mogła swoją obojętność dla siostry; i w końcu była pewna, że z przywiązania zbliża kochanków.

Jako dobra siostra, rozmówiła się z Hrabią. Hubert w oddaleniu ukazywał piękne rzeczy—może ożenienie, a pewnie zabezpieczenie losu Tekli; siostrze zaś obowiązującą, się ją namówić i nakłonić do wyjazdu z panem Hrabią piękny, bogaty, ofiarował podarek, podarun-

kowi całus towarzyszył. Róża pośpieszyła do domu.

Tam cicho, w kącie rozmówiły się dziewczęta.

— Ten polski graf kocha cię —

— Wiem! odpowiedziała Tekla i rozpłakała się.

— Czegoż płaczesz? tém lepiej!

— Tém lepiej! ach! dobrze ci to mówić—

— Cóż z tego? on cię tak szczerze, tak serdecznie kocha! może się z tobą ożenić.

Róża na wpół wierzyła temu.

— Wiesz co mi mówił?— Mysli cię porwać i uwieść.

— Od was! od kraju!

— Z nin!

— Poźniej się z tobą może ożenić—

— Czemuż nie teraz?

— A! teraz — teraz nie może, ma ojca czy stryja bogatego, bardzo bogatego, który by go pewnie wydziedziczył.

— Ale ten stryj nicby nie wiedział o naszym małżeństwie?

— Tak się to zdaje, Teklo, o wszystkim się ludzie dowiadują —

— Dowie się więc że z nim pojedę —

— Choćby się dowiedział, pomyśli że to kaprys przelotny i gniewać się nie będzie —

Tekla się zamyśliła —

— Jak radzisz mi siostró?

— Ja? nie umiem ci radzić! Żal mi się rozstać z tobą!

— Jakbyś zrobiła na mojem miejscu.

— O! ja! zawołała Róża — pojechałabym z nim.

— A jeżeli on mnie porzuci — zaprze się — Ach! w obcym kraju, to okropnie —

— To być niemożliwe! On! tak dobry, tak wspaniały, tak przywiązany do ciebie! to być niemożliwe!

— A jeśli się — potem żenić nie zechce?

— Moja droga, odpowiedziała Róża! to od ciebie zależeć będzie, nie jesteś dziecko —

— Ale ja go kocham, naiwnie odparła Tekla, możeż myśleć o sobie ten kto kocha prawdziwie? Dam się uwieść, porzucić, opuścić, nie potrafię nic wymódl na nim.

Róża usta zacięła i pomyślała — Gdybym była na twojem miejscu!

— A więc siostruniu?

— A! sama nie wiem! Opuścić dom, braci, siostry, ojca — i pojechać tak w świat straszno, straszno —

— Odmawiasz więc?

— O! pozwól! nie przyrzekam, nie odmawiam! Głowa mi się zawraca —

Róża obojętnie wstała.

— Słuchaj, rzekła po chwili zbliżając się, namyśl się — Jeżeli ci miłość doda odwagi, ja za ciebie zrobię z nim umowę, Niemoże się ożenić z tobą, niemoże nawet dać ci przyrzeczenia na piśmie, niech da przynajmniej posag wielki.

— Siostro! zawołała Tekla z gniewem — ja się nie sprzedaję!

Róża zapłonęła — Zapewne, ale gdy będziesz miała zapis wielki, to go podbudzić może, do dotrzymania ci słowa —

— Rób co chcesz, ja go kocham — dodała idąc ku oknu młodsza — ja go kocham i nie wiem, nie nie rozumiem więcéj!

Tegoż wieczora Róża była długo w Weneckim hotelu i przyniosła siostrze, brylantowe kolce, śliczny pierścionek i arkusz papieru. Na nim był zapis, któren Hrabia nierozważną ręką nakreślił. Nazajutrz mieli wyjeżdżać. Kolce dostały się Roży — pierścionek przycisnęła Tekla do serca; a o zapisie byłaby zapomniała, gdyby siostra co z niego użytku zrobić tutaj żadnego nie mogła, nie zawiązała go w węzelek malutki, zawierający całe mienie biednej dziewczyny.

Nadszedł wieczór, a choć oknem Hotelu patrzył rozmiłowany Hrabia, Tekla na myśl odjazdu — płakała —

Żegnała ona wszystkich, wszystko, ulice, przechodniów, wieżę Ś. Szczepana, braci, sio-

stry — miejsca, ludzi, sprzęty! Jakiś instykt mówił jej w duszy — źle robisz!

Czemuż nie posłuchała tego głosu i poszła za drugim, co go głuszył i wołał

— On cię kocha!

Czarodziejskie słówko! Nazajutrz zmrokiem Róża z Teklą, wyszły na przechadzkę w przedmieścia. W jednym z ogródków, gdzie muzyka zwykle grywa i lud się weseli, czekały dziewczęta, na karetę Hrabiego. Tekla płakała rzewnie i były chwile że chciała uciekać do domu. Rózi także kręciły się łzy w oczach i już nie wiedziały co robić z sobą, gdy trąbka zabrzmiała, powóz zaturkotał—on nadjechał.

Tekla pojechała.

Nazajutrz rozpacz w domu, stary Drolling rwał siwe włosy z głowy. — Ucieczka Tekli okryła je niesławą.

Róża opisywała miłostki Hrabiego polskiego z siostrą, w których się wszelkiego udziału zaparła.

Dalszėj historyi Tekli domysleć się łatwo. Hrabia który jėj nigdy duszą nie kochał zobowiązuwał dla niėj, przecież sumienie, nie dozwalało mu jėj porzucić. Życie z nią coraz się cięższém stawało. Tekla bowiem dopominała się przyrzeczeń skutku, męczyła przywiązaniem swém, stałością i wiarą którój niezaprzysięgłszy dotrzymywała. Kilkakroć Hrabia wystawiał ją na ciężkie próby, ale zawsze wyszła z nich zwycięzko.

Tak się miały rzeczy, gdy Rotmistrz Wiła zaprojektował pozbycie się Tekli, wyżej opisanym sposobem.

Hrabia nie tań przed sobą że to przedsięwzięcie trudnem było, a może: — Któż wie? mimo że mu się naprzykrzyła kochanka, sumienie szeptało, iż porzucić jėj się niegodzi. —

Ludzkie serce — przepaść — powiedział poeta; ileż to razy za nim ten ogólnik, tę frazę zużytą powtarzać musimy.

Gdy nie ma kogo kochać — tęskni,

Gdy długo kocha jedno! — tęskni,

Gdy się z nim rozstanie — tęskni

I zawsze — tęskni.

Hrabia znużył się Teklą, a chwilami myślał wszakże: gdy jój niestanie, nudno mi będzie! I mimo téj myśli pracował aby się jój pozbyć.

— Nie będzie ta, będzie druga!

Mówił sobie z uśmiechem. Kto wie? ta druga może mnie zabawi, rozerwie, odżywi?

Wszystko nieznane i przyszłe, ma urok szczególny; człowiek w nim zawsze widzi swój ideał, który jest wprawdzie wyrażając się po prostu *niebylicą*, a przecież wyglądamy odwiedzin jego całe życie.

— Tak tedy Hrabio — mówił dalej Wiła, rozpoczynamy działać.

— Czekaj! czekaj! jakże mnie wprowadzisz do Górowa?

— Naradźmy się — Gdybyś na przykład Hrabia pojechał przeprosić za moją niedorzeczność, za ową wizytę? Hm?

— Dla czegoż teraz? nie wprzód! Głupio kochany Rotmistrzu!

— Masz hrabia słusność — A nie ma tam z Wojewodziną jakiego pokrewieństwa, zatém i z nimi kolligacyi — styczności. Panowie, dodał, zwykle są troche krewni —

— Gdyby i tak było, rzekł Hubert, bo babka moja i matka Wojewodzinéj były stryjeczne siostry — dla czegożbym dopiero po successyi miał się o tém dowiedzieć?

— Rzecz naturalna! Boć Hrabia niewiedział że miały jakąkolwiek styczność z Wojewodziną —

— Pretekst i oczywiste kłamstwo! Bliktry! kochany Rotmistrzu! Szukaj czego innego w głowie —

— Gdybyś Hrabia, jadąc przez Gorów, wyrócił się, potłukł —

— A! ba! stara jak świat sztuka! wszyscy się na nią poznają. To trzeba by coś lepszego.

— Przychodzi mi na myśl! O! wybornie.
I Wiła klasnął wręce z całej siły.

— Nie strzelaj, a mów, zobaczymy i osądzim, pewnie przedwcześnie się cieszysz.

— Zdaje mi się że nie! Znalazłem sposób
Trzeba wiedzieć (o czém wszysey wiedzą prócz
Hrabiego) że stary Krajczy ma jedną słabość.

— Jakąż słabość?

— Kocha się—

— Kocha się? pleciesz kochanku—

— Kocha się Hrabio, ale w kawałku lasu, który mu został przy Górowie. Ten kawałek sośni-
ny i dębiny, hodowany i pielęgnowany jak
oko w głowie, szacuje on na krocie, kto wie
czy nie miljony.

— Ale cóż mi z tego!

— Ba! ten laszek jest w dyferencij ze Śli-
winem; używalność przy nich niby, ale nie-
mnień zowie się to dyferencją i ojciec pana
Hrabiego stracił w processie, jak mi mówił
Ławrynkiewicz, z piętnaście tysięcy — Szuka-
li kopców w mogiłach—

— Ale ojciec mój przegrał?

— Przegrał? niezupełnie, nie łatwiejszego jak podnieść proces! w pierwszej instancyi tylko przegrano.—

— Ale cóż mi z processu!

— Jużci! jasno jak na dłoni. Dla interessu można pojechać do Górowa. Wyniosą się pozwy, i napisze się list do Krajezgo, naznaczy się dzień zjazdu w Górowie — A kto raz tam był, wszak może bydz i dziesięć, zwlekając układy i wyjaśnienia interessu. Tym czasem pannie Tekli można szepnąć—

— A ona mi oczy wydrze?

— Hrabio! zdaje mi się żeśmy się postarzel!

— O mój drogi! i bardzo—

— Więc dajmy pokój i siedźmy cicho popijając ciepłe piwko u komina —

Hrabia milczał i myślał, a po chwili:

— Wiesz Rotmistrzu, to nie jest zły projekt? Jeśli się uda — jeśli mi niemkę wykurzysz, cztery kasztanki twoje!

Wita się skłonił a pomyślał w duchu —

— Cóż więcej zyskuje nad nie, bo znowem pan w domu — Zje licha żebym potem wpuścił niebezpiecznego ptaszka! Będę ostrożny — Anusi wiele zechcesz, ale tych pań co to w brylanty i kaszemiry się stroją — wara!

— A więc, rzekł Hubert — jutro dać dyspozycją Ławrysiewiczowi, aby pojechał i pozwyny nosł — tak, żeby pozew poprzedził mój list?

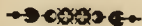
— Nie łatwiejszego — ale na proces potrzeba pieniędzy —

— Dam —

W téj chwili drzwi się otworzyły i Durczyński spytał?

— Czy można? Idę się skarżyć na Ekono-mównę.

— A! daj mi pokój ze swemi błażenstwami i idź spać! fuknął Hubert. Stary zamknął drzwi i poszedł z nosem spuszczoneym.



INTRIGI.

1800

INTRYGCI.

W kilka dni potém Krajezy zdziwiony, odbierał pozew. Wszelki inny byłby go nie poruszył wcale, nadto do nich przywykły; ale pozew o lasek! o ten drogi lasek, któren go tyle kosztował! którym żył i oddychał! Starzec zerwał się z krzesła i zawołał.

— Panno Scholastyko! to okropność!

— Co się stało! spytała Ciotka widząc go niezwyyczajnie poruszonym—

— Co? co? *Spes in Deo*, to szalony! Hrabia pozywa mnie o lasek! tyle lat milczenia, używalność, posiadanie! Ojciec przegrał! To Ławrysiewicz baki mu świeci, aby wydrwić co — Pozywają! pozywają!

— Nie martw że się WPan przedwcześnie, zawołała Scholastyka — Teraz damy sobie rady, mamy pieniądze —

— Ja nie mam pieniędzy!

— To ja pożyczę a ewikeya na lasku!

— Ale po co mi koszt i kłopot. Nocy nie będę miał spokojnej — Mój lasek! krocie, krocie. Przewąchał że mam w nim tyle masztów, bo Hryć powiada że ogromnie ich wiele się kwalifikuje na to! Oszalał, oszalał.—

Słowem, Krajezy tak uczuł ten pów, że Ciocia musiała dla uspokojenia wezwać prawnika, pana Piotrusińskiego, którego przypilnowawszy w sieniach nim wszedł do pokoju wyuczyła co miał staremu mówić.

— Mów Pan, rzekła — że Hrabia przegra, choćby tak nie było — Gdyby wygrał, jesz-

cze mów że przegrał; gdyby zajął lasek, mów że go nie zajmie, stary nigdy nie jeździ, nie wiele mu życia zostało, niegodzi się by się tą lichotą martwił i życie sobie skracał.

Ale stary odżył uderzony w lasek —

Pan Piotrusiński zmagał się na dowody że z processu nie być nie może; Krajezy roił i ukazywał mu niebezpieczeństwa. Na starych mappach stało „*Dyfferencya*” od dwóchset lat była o to kwestya — Gromady Śliwina i Górrowa przysięgały obie, a dukt oznaczony w starym dokumencie z powodu wyschnienia wodocieczy użytéj na młyn i odwróconéj, z pewnością oznaczyć się nie dawał.

Krajezy żywo był niespokojny.

Nazajutrz nadszedł list Hrabiego.

Po tytule następowało:

„Tyle lat przeżywszy zgodnie w sąsiedztwie, z prawdziwą przykrością przychodzi mi zakłócić spokojność JW Pana

i wywołać dawno zapomniany process. Lasek graniczący z Śliwińskimi borami z dawna za własność naszą uważany, za ojca mojego pod processem zostający; którego ustąpić bez ostatecznego rozstrzygnięcia drogą jakąkolwiek nie mogę i nie powinienem — staje się dziś powodem sporu, nad którym ja pierwszy ubolewam.

Wskrzeszenie kroków prawnych, zechcesz mi JW Pan darować, zważając że człowiek ma obowiązek szanowania i utrzymywania własności swój jaką w spadku otrzymał, i jeśli jej pomnożyć nie umie, uronić przynajmniej nie powinien. Boję nad tém, ale widzę konieczność dopomnienia się o to, co za swoje uważam.

Rozpoczęty process przykry mi jest i bolesny, a że nie chciałbym zasłużyć na imię pieniacza, chętnie wszelkie przyjazne ukończenia przyjmę. Czy nie moglibyśmy zdać się na arbitrów? albo nie

zdało by się JW Panu dozwolić mi przej-
rzenia jego dokumentów, gdyż raz prze-
konany że nie mam za sobą ani prawa,
ani prawności chętniebym od preteusyi od-
stąpił. Jeśli mi JW Pan pozwolisz służyć
sobie w Górowie, może się porozumiemy.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, mi-
ło mi wyznać uszanowanie i poważanie
z jakimi zostaje.

Jaśnie Wielmożnego Pana

Dobrodzieja

najniższym sługą

Hnb. Hr. Śl.....“

Listu tego redakcją zajmowali się wspólnie
Rotmistrz z P. Ławrysiewiczem.

Adwokat nie mógł nie zrozumieć, śmiał się
z pozwów i wzruszał ramionami, ale robił co
kazano.

Krajczy jak skoro list odebrał! przeczytał i
zapomniawszy na srogą urazę jakiej doznał
od Hrabiego, siadł i odpisał zapraszając go na
dzień jutrzejszy do Górowa.

List ten staroświeckim trybem ułożony wart jest umieszczenia.

Jaśnie Wielmożny

Hrabio!

„Przyjmując *cum gratitudine* wielce drogą propozycją JW Hrabiego, amikalnego ukończenia interessów w mowie będącego; którą za dowód szacownej jego łaski rachować ośmielam się, spieszę rewersyjnie chęcią gotową ku zgodzie i świętemu pokojowi odpowiedzieć.—

Dnia zatém jutrzejszego t. j. *ultima presentis* z Szlacheckim obiadem oczekiwać będę, pochlebiając sobie, że wejście na dokumenta i fascykuly téj sprawy tyczące się, przekona o słuszności prawy moich. “

Zakończenie listu, wedle wadycyjnego prawidła, ściśle zastosowane zostało do pisma Hrabiego i prawie tąż samą formułą go zamknęło.

Starzy nasi ojcowie i dziadowie pilnowali

się tego bardzo, zwłaszcza odpowiadając osobom mało znajomym, aby tak się podpisać jak się do nich podpisano; z respektem, szacunkiem, poważaniem, uszanowaniem, najniższym sługą, służeczką. bratem i t. p.

Hrabia odebrawszy odpowiedź pokazał ją Wile uśmiechając się, a ten pokręcił węża zwycięzko.

— Płyniemy, rzekł.

— Płyniemyż

Zadysponowano kocz wiedeński, cztery konie szpakowate, wielką liberyą i panu Ławrysiewiczowi, aby był gotów na dziesiątą. P. Wile byłby jechał, ale mu przyzwoitość w tym domu pokazywać się nie dozwalała.

W Górowie wielkie przygotowania. Panna Scholastyka krwawo i śmiertelnie obrażona, postanowiła pokazać Hrabiemu że postępowanie jego dawniejsze, wymierzone zostało na osoby, które wcale na nie nie zasłużyły. Wykreśliła więc sobie sposób postępowania i siła na to, aby zamożność domu pokazać.

Postańcy rozbiegli się na wszystkie strony Książę F... musiał dać kucharzy, zakupiono w miasteczku co tylko było można dostać najwytworniejsze wina, porcelanę, srebro, szkła, meble. Dom w dwadzieścia cztery godzin ubrał się do niepoznania. Ludzie najęci, wystąpili w czarnéj ale z cienkiego sukna i jednym krojem liberij. Przepyszny angielski dywan zaściełał całą podłogę. Mahoniowe meble zajęły pierwszy pokój, portrety familijne ze wszystkich zakątów, strojne w nowe ramy, umieszczono w bawialnym. Zaproszono pana Piotrusińskiego dla porady, a Seweryna dla towarzystwa.

Ale list panny Scholastyki nie zastał go w domu.

Krajczy zegnał się widząc tyle przygotowań i odmian. —

— Zrujnujemy się, mówił — *Spes in deo*, nieochybnie —

— Niebój się panie Krajczy wszystko z moich, gotowych pieniędzy.

— Ale dla czego taki expens?

— Mam swoje powody!

— Swoje powody! Wola Waćpanny — ale robię uwagę — To *lurus* niesłychany. —

Panna Scholastyka zamilkła — Marja dobrowolnie i za poradą Ciotki, w czasie bytności Hrabiego pokazywać się nie miała. —

Gdy powóz najwytworniejszy Hrabiego, posuwa się ku Górowu, Rotmistrz pokręciwszy wąsa, wsuwa się do pokoju Panny Tekli.

— Dzień dobry pani!

— Dzień dobry —

— Co tu u pani słychać?

Rotmistrz westchnął i usiadł.

— Nie, kochany Rotmistrzu — Ot kwiatki mi nie tak idą jak powinny.

— Doprawdy? rok niedobry!

— Dokąd to Hrabia, wyjechał?

— Nie wiem — zakłopotanie udając cicho rzekł Rotmistrz — nie wiem — chociaż —

— Chociaż co?

— Chociaż się poniekąd domyślam!

Pokiwał głową.

— Tak to u tych panów! służ! służ! nad-
skakuj! daj mu życie — a on ci na końcu ty-
łem się odwróci.

— Cóż ci to Rotmistrzu?

— Pojechał do Górowa — Nie mi —
Westchnął znowu.

— Napadło cię dziś wzdychanie—

— Pani nie nie wiesz?

— Powiedz że mi, coś takiego?

— Gdybym wiedział że mnie nie wydasz—

— Tajemnica! mów śmiało! komuż bym ją
powiedzieć mogła? Gdybym chciała nie ma
komu. —

— Ba — jest to rzecz taka, że pierwszy Hra-
bia, gdyby się dowiedział—

— Cóż to być może?

— Jedynie szacunek jaki mam dla Pani—

— Rotmistrzu! bałamucić mnie chcesz!

— Nie—ale ostrzedz—

— Znowu jaka Anusia?

— O! gorzej! sto razy gorzej — Pani wiesz co się dzieje w Górowie —

— Nie nie wiem. Nie jestem ciekawa i nikt mi nowin nie przynosi.

— Panna synowica Krajczego odziedziczyła miliony!

Brwi Tekli zmarszczyły się —

— Hrabia pojechał do Górowa, wiesz pani po co?

I spojrzał jój w oczy —

— Chce się żenić! uważa pani!

— To być nie może! — zawołała Tekla --

— O! o! znam ja ludzi! i choć mi nie nie mówił, widzę co się święci —

Tekla spuściła oczy, rzuciła o ziemię trzymany w ręku bukiet i zawołała —

— Chce się żenić? A ja? a ze mną co zrobi?

— Nie wiem — miarkuję wszakże —

— Że mi zechce dać konie, powóz i coś tam na drogę, abym sobie pojechała? nieprawdaż?

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Zobaczym, czy się tak łatwo mnie pozbyć?

— A jeśli zechce zapewnić jój los —

— Jakto Rotmistrzu?

— Jak? juścić pewnie nie inaczej jak pieniędzmi?

— Niech je sobie schowa! Nie potrzebuję pieniędzy! Ale to fałsz, to ci się przywidziało, być nie może.

— Niech mi się przywidziało?

— Zkąd pewność że się starać myśli?

— Właśnie żem prawie pewny. — Przebąkiwał, dawał do zrozumienia —

— Któraż kobieta, odważy się go przyjąć — któż nie wie że ja tu jestem?

— O! miła pani, przerwał Rotmistrz udając smutne oburzenie — mitra hrabiowska —

Tekla potrząsała głową —

— Nie wierzę temu? Nie wierzę póki mi sam nie powie — A! naówczas —

— Cóż naówczas?

— Naówczas plunę mu w oczy, jako podłemu i pójdę naga, pieszo z tego obrzydłego domu.

Wiała wąsy pokręcił.

— W istocie, dodał, przywiduje mi się zapewne, nie ma nic pewnego? Nie chcę uwierzyć rzeczywistości, to by było tak niegodziwie — Dzień dobry pani — J wyszedł.

Rzucona myśl, nie poszła naprożno — Tekla nie wyszła na obiad, dzień cały została w pokoju i płakała.

Tym czasem w Górowie, przyjmowano Huberta, grzecznie, ale zimno i dumnie.

Ciocia kierowała przyjęciem. Mało mówiąca, ostra, złośliwa nawet, starała się dać uczuć gościowi, że go przyjmuje grzecznie; bo ludzie dobrze wychowani do ostatnia są grzeczni — ale nim gardzi. Hrabia od dawna nie był tak zmieszany i stracił na ten raz zwykłą przytomność umysłu i pewność siebie. Napróżno wyglądał wyjścia Maryi, Marja nie ukazała się. Konferencya prawna spęzła na

niczém i Hrabia przyrzekł za dwa dni przyjechać znowu, ze swemi dokumentami, których umyślnie zapomniął. Po pierwszém przyjęciu, nie bardzo mu się jużjechać chciało, ale począwszy chciał dojść do jakiegokolwiek końca. Rotmistrz powtórzył mu swoją rozmowę z panną Teklą.

— Niech mi z resztą plunie w oczy, zimno rzekł Hrabia, byleby sobie z Bogiem powędrowała.

Zaprzęgano konie na drugie odwiedziny do Górowa, gdy Wiła wsnuął się do pokoju Tekli i szepnął jój w ucho.

— Patrz no pani, znowu jedzie?

— Dokąd?

— A dokądże do Górowa. Ławrysiewicz mi mówił, że już się ma około intercyzy. —

Wtej chwili sam Hrabia, wyswieżony, uperfumowany, ukazał się na progu. —

— Dokądże to pan jedzie?

Wiła usunął się i umknął.

— A! do Górowa z powodu — processu!

— Tylko processu?

— Zdaje mi się —

— W Górowie jest panna bogata?

— Jest —

— Pan się o nią myśli starać?

— Zkąd to wiesz? udając pomieszanie, zdumienie, zawołał Hrabia —

— A! więc tak jest! przerwała Tekla —
Hubert spuścił oczy.

— A gdyby tak było — rzekł — gdyby tak było!

— Cóżbym ja w tym domu znaczyła?

— W tym domu? zapewne — Ale gdzie indziej. Słuchaj Teklo, mówmy rozumnie.

Niemka cała w płomieniach, cofnęła się na krok —

— Słucham, pana!

— Przeżyliśmy lat kilka — mnie czas z siwym włosem myśleć o ożenieniu stosowném.

— W czas się opatrzył!

— Ja nie chcę twojej krzywdy!

— Cóż to się nazywa moją krzywdą?

— Nie chcę cię opuścić, porzucić, i jak inny by uczynił zapomnieć i na przyszłość. —

— A coż chcesz uczynić?

— Chcę cię jak słuszną, wyposażyć, zapewnić ci los i powrót do kraju —

Oczy Tekli zaiskrzyły się ogniem dumy obrażonej, gniewu, rozpaczy.

— Powrócę do niego pieszo! zawołała, powrócę! Dziś jeszcze w téj chwili!

Nie nie chcę od ciebie! — Uwolnię cię od ciężarów, ale pomstę Bożą zostawię na głowie twojej — Zginiesz marnie jak pies —

To mówiąc wskoczyła we drzwi i pobiegła w dziedziniec, w jednej sukni tylko, jak stała; nie oglądając się za siebie i nie odpowiadając na wołanie hrabiego, który stał wryty, doprawdy pomieszany i niewiedząc co robić.

— A co? poszła? spytał nadbiegający Rotmistrz.

Hrabia mruknął niewyraźnie.

— Poszła jak stała! nie nie wzięwszy!

Ona powróci! powróci!

— Posłać za nią konie! dodał hrabia gniewny. I wszedł zachmurzony do pokoju — Nie pojedę do Górowa —

Wyprządz konie i napisać, że przepraszam, żem chory.

Wiła spostrzegłszy zły humor pański, sam popędził za uciekającą, pewny będąc, że ją do powrotu namówi.

Na długiej grobli wiodącej ze Śliwina do wioski, którą dzierżawił Seweryn, napędził niemkę, idącą żywo, cała we łzach.

— Co to jest? gdzie pani bieżysz! zawołał — hrabia posyła za nią?

— Nie jestem poddaną Grafa, odpowiedziała, wróć do niego i powiedz mu, że brzydzę się nim, jak najpodlejszym z ludzi, nim, tobą, wami wszystkimi.

— Oho! z wysokiego tonu pani poczyną!

Ale dalekoé to myśli tak zajść w szlafrocuku, bez grosza, pieszo w kraju, gdzie u wrót

— Ale przecież?

— Pójdę zebrać —

Seweryn, który bolał nad sobą właśnie i cierpiał od czasu jak Marja stała się dla niego, nieprzystępną otrzymaném dziedzictwem skłonny był w téj chwili do litości. —

— Wracam do domu, rzekł nie zastanawiając się — Przyszłę konie po panię.

W Tarnoborze zostaniesz pani póki zechcesz. Ażeby zaś ludzie przeciwko temu nie mówić nie mogli, nie zsiadając z konia, wyjeżdżam do drugiego folwarku.

Tekla nie odpowiedziała, co chwila jaśniej widziała, że rady sobie dać nie potrafi; nie mogła odrzucić pomocy, którą jéj ofiarowano — Seweryn zawrócił i popędził ku domowi.

W oddaleniu czatujący Rotmistrz, dostrzegł spotkania, domyślił się rozmowy i pospieszył do hrabiego —

— A wie Graf co się stało?

— Cóż się stało?

— Panna Tekla poszła do Tarnoboru —

— Kazałem posłać konie za nią, zawrócić ją tutaj? Słyszałeś waćpan?

Rotmistrz nie śmiał przebąknąć, tak piorunującym te słowa wyrzekł Hubert głosem; wyszedł. Ale z za drzwi odezwał się cicho.

— Spotkała się z panem Sewerynem.

— Posłać konie za nią! zawołał hrabia.

Rotmistrz zastał przed stajnią, kocz gotowy, sam siadł na kozłach i poleciał czwałem. Ale nim się to stało, nim dobiegł do miejsca, gdzie porzucił Tekłę, nadeszły konie Seweryna iabrały ją do Tarnoboru.

Hrabia przechadzał się gniewny i zasepio-ny po pokoju — Rzucił cybuchami i psy potrącał — nikt z sług w oczy mu zajrzeć nie śmiał, gniew jego bowiem był straszny, choć krótko trwał.

Słowa Tekli, jój duma, jój postępek wzruszyły go do głębi; żałował swego kroku. Chciał się jój pozbyć, ale wcale nie w ten sposób, zbogaconą, wynagrodzoną, spokoj-

nią, uśmiechniętą myślał ją odprawić do Wiednia. Przywiązanie jój, oburzenie, szlachetność, zawstydzaly go. Przebiegał myślą całe życie z nią spędzone i nic nie mógł znaleźć do wyrzucenia. Sumienie gryzło, co chwila wyglądał, niespokoił się, Rotmistrz nie wracał.

Nie spotkawszy się nigdzie z nią na drodze, Wiła popędził do Tarnoboru.

Hubert niecierpliwił się i przeklinał; silnie wzruszony, zaczynał przypuszczać, że ta kobieta z którą lat kilka spędził, była dla niego koniecznym warunkiem życia, szczęścia.

Próba go o tém przekonywała — potrzeba jój było, żeby niepoznane szczęście w sercu będące, wyraźnie mu się objawiło.

Człowiek się zwykle tém srożej gniewa i większą winę na drugich składa, im sam czuje się winniejszym. Tak właśnie Hubert wściekał się na Rotmistrza. —

— Jego rada, jego sprawa! szalony żem posłuchał! Ja bez niej żyć nie będę, nie mogę, — jak psa go wypędzę — jak psa.

I biegał z pokoju do pokoju, patrzył na drogę, Wiła nie powracał.

Tekla była już w Tarnoborze, a Seweryn siadał na konia, mając natychmiast odjechać do drugiego folwarku.

Znał on sąsiedztwo, i już po czynie przychodziły mu na myśl tłumaczenia, które niechybnie powstać z niego miały. Uczciwy człowiek, spokojny na sumieniu, nigdy się taką uwagą, od dopełnienia powinności nie odwiedzie; nie mniej wszakże Seweryn czuł się niespokojnym. Nie przewidywał co jeszcze nastąpić miało.

Rotmistrz nadjechał i wysiadł rzucając liście służącemu.

— Przepraszam pana, rzekł do Seweryna, jestem wysłany przez hrabiego po pannę Teklę, która w chwilowém rozjątrzeniu podobno tu się schroniła.

— Panna Tekla Drolling jest tutaj —

— Chcę się z nią widzieć.

— Proszę za mną.

I Seweryn wprowadził go do pokoju w którym zastali ją, leżącą na kanapie i rzewnymi łzami płaczącą.

— Hrabia oczekuje na panią! rzekł Rotmistrz, prosi, wzywa —

— Nie jestem ani poddaną Hrabiego, zawołała porywając się kobieta — ani w żaden sposób mu podległą — Rozkazów nie przyjmuję — wracaj waćpan zkad przybyłeś!

— Co pani jest? co pani jest? rzekł przybliżając się Wila — Pani się gubisz! Hrabia w gniewie.

— Rady nie potrzebuję, gniewu się nie lękam; idź waćpan. —

— Pani jesteś w obląkaniu, życzę się z krwią zimną zastanowić, na czém się to skończy.

— Wszystko się skończyło — przerwała Tekla.

— Przestrzegam panią, dodał exasperując się Rotmistrz, że jeśli jechać nie zechcesz, gwałtem ją wezmę —

— Gwałtem! zawołała kobieta — jestem

pod opieką gospodarza i on nie da dopełnić gwałtu —

Seweryn skinął głową i dodał —

— Przepraszam pana Rotmistrza i Hrabiego, ale każdy w mojem położeniu toż samo by uczynił — Ażebym nie był podejrzany o żadne mniej chlubne powody obrony, sam wyjeżdżam, ale dziesięciu ludzi postawię na straż i gwałt tu stać się nie może.

— Szanowny sąsiad, bierzesz na serjo fantazją panny Tekli —

— Kobięta ucieka się pod moją opiekę Rotmistrzu, powiedz co byś uczynił?

— O! ja, rzekł wzruszając ramiony Wiła, znając co za kobięta —

— Podły służalec! zawołała zgrzytając zębami Tekla.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co za kobięta — dość że kobięta.

— Pozwolisz pan sobie powiedzieć, że bierzesz ciężar, którego wagi nie czujesz dziś, a który może go przywalić w przyszłości.

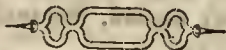
— Czynię com powinien.

Rotmistrz powtórnie ruszył ramionami ze
wzgardą — Exageracja! rzekł — Exaltreja!

Ale wola pańska —

Uklonił się i odjechał.

Seweryn w oczach jego siadł na konia i
ruszył także.



JESZCZE TOŻ SAMO.

The following is a list of the
 names of the persons who have
 been appointed to the various
 committees of the Board of
 Directors of the City of New
 York, for the year 1898.
 The names are arranged in
 alphabetical order.

ALBANY COUNTY

czeka też samo.

W Górowie z nieszczęśliwym tym spadkiem, nowe wyrosły strapienia i kłopoty. Interesa, przyjęcie gości, nowe i stosowne do położenia teraźniejszego urządzenie domu, czas zabierały, tchnąć i spocząć nie dając. Wierzy-ciele Krajczego jego ubóstwem dawniej wstrzymywani teraz się cisnęli bezustannie. Panna Scholastyka upadała pod ciężarem nowych prac i obowiązków.

Dodajmy, że przysposobione jój dziecko, ukochana Marja, co dzień bledła, smutniała i kilka razy na dzień zalewała się łzami. Seweryn nie przyjeżdżał.

Co gorzej dziwne wieści o nim krążyły.

Biédne dziecko powiadało sobie, że trzeba o nim zapomnieć — a płakało. Było to pierwsze przywiązanie Marij! Wierzyła na chwilę, potem wzdygała się i odpychała pogłoski niepocziwe chodzące w sąsiedztwie, i z szczególném staraniem szybko przynoszone do Górwa —

Widząc jak starania wszystkich, nie wiodły do niczego, wszyscy się nareszcie zgodzili na jedno — Panna Marja kochała się w Sewerynie, a Ciotka nie chciała zapewne iść za mąż, póki by siostrzenicy nie wydała.

Tak w wysokiej swój mądrości wyrzekła pani Doliwowa i wszyscy za nią powtórzyli. Tak jest! tak jest niechybnie!

A zatem? należało działać przeciwko panu Sewerynowi —

Działano też — o! i skutecznie!

Nazajtrz po opisaanych wyżej wypadkach, stary kocz Doliwów, toczył się do Górowa w południowej godzinie.

Zwycięzko rozsiadła się w nim Jejmość brzemienna wielką nowiną, którą pielegnowała, którą w głowie swój stroiła, przestrajała, wykręcała, ażeby jak najważniejszą, układała stanowczą uczynić.

Zapowiedziała najprzód sobie, żeby nie wspominać o wyjeździe Seweryna z Tarnoboru, powtóre połączyć historją drugą z pierwszą, o której była mowa, potrzebie tak mówić, aby Marja słyszała.

Nielitościwa jędza, wiedziała, domyślała się jaki skutek pierwsza jój powieść uczyniła na Marij, postrzegła ją blednącą, wychodzącą śpiesznie dla ukrycia pomieszania, łez, wrażeń odebranego. To, nietylko nie powstrzymało jój od ponowienia czynności, ale ją podbudzało, kuniój jeszcze. Wyznajmy że działając dla dobra syna, nie mogła okrutniej

zadać fałszu nazwaniu swego macierzyńskiego przywiązania — miłością!

Wprawdzie wilczyce przynoszą swoim małym, zakrwawione poszarpanych bydłał wewnętrznosci! Pani Doliwowa tak serdecznie chciała, te miliony przelać na głowę Teodor-ka, ukochanego Todosa!

Scholastyka kocz jęj ujrzawszy, pobladła, zagryzła usta, wzdrygnęła się, ale mogłaż nie przyjąć odwiedzin? Na wsi poczytuje się to za srogą obrazę, cóż dopiero, gdyby się tego dupuścili świeżo zbogaceni? Włożono by to na rachunek dumy ich — Niestety! niewolnikami jesteśmy, zawsze i wszędzie!

Pani Doliwowa weszła uśmiechająca się, promieniejąca, jasna jak słońce, strojna w pomarańczowe wstążki —

Zły to był znak! Harpie cieszą się gdy lecą za pastwą i trzymają ją w szponach, a nasza słodziuchna sąsiadeczka w pomarańczowych kokardach zasługiwała na ten przydomek mitologiczny. Gdyby u nas można było zro-

bić illustrowane wydanie, z jakąż rozkoszą, wyrysowalibyśmy wam wyraz twarzy pani Doliwowej, wchodzącej do salonu —

— Jakże zdrowie kochanej pani!

— Tak dawnośmy się już nie widziały!

— Droga pani!

— Jakże mi miło —

Poczem nakrzywiwszy się i nawykrzywiawszy, usiadła na kanapie. —

Marij nie było, obejrzała się —

— A panna Marja?

— Nie bardzo zdrowa —

Jakto? nie ukazuje się nawet?

— Owszem, ale dziś nie wiem z pewnością. —

— I cóż to jest?

— Jakieś osłabienie; podobno użycie wód będzie nakazane —

— O! doprawdy! Na tak długo stracilibyśmy przyjemność widzenia ich.

Scholastyka tylko się uśmiechnęła, wpół dziękując, wpół złośliwie. Nic ślepszego, za-

den kret nawet, nad człowieka zapalczywie dążącego do celu — pani Doliwowa nie zobaczyła w tym nśmiechu, nawet tego co było widocznem —

Rozmowa poszła zwykłą drogą.

Podano herbatę, Marja weszła, sąsiadka zarumieniła się i po przywitaniu najczulszem, już miała *ex abrupto* przystąpić do opowiadania; gdy Hasling świeżo ogolony, wystrojony, oczewisty pretendent do Cioci, nadjechał z ogromnym bukietem kwiatów.

Po ten bukiet jeździł nieszczęśliwy wdowiec dwie mile i zapłacił zań dwa złote. Ale też widzieć go było i podziwiać. Ogromne dahlje, i co tylko najkrańniejszego znalazło się w książęcym ogrodzie, błyszczało w nim spakowane najniezgrabniejszym sposobem.

Ciocia odbierając dar parsknęła mimowolnie. Doliwowa usta zacięła szydersko, Hasling niecierpiany był od niej, a zuienawidzony od czasu spadku gorzej jeszcze. Sąsiedztwo a zwłaszcza Doliwowie uważali go za coś

tak dalecece niższego od siebie; iż starania jego jawne w Górowie, niecierpliwiły ich — Śmiał stawać w jednym rzędzie z niemi — z niemi! Wzdryguęli się na to zuchwalstwo!

Potrzebowaliśmy o tém nadmienić, aby następującą wytłómaczyć rozmowę, w której Hasling, grał rolę na wieki zabijającą go w oczach Pokotyłów, Doliwów, Kulikowicza. Oni wszy, scy uradzili usunięcie Seweryna, on nie wiedząc o tém, a może nie widząc potrzeby, (gdyż na ożenienie synów przestał być rachować i liczył tylko już na swoje —) poszedł w brew wszystkim.

Oto jak się rzeczy miały.

Podano herbatę —

Ciocia gospodarzyła, Krajezy kawę w milczeniu popijał. Marja usunęła się na stronę i szyla w krosienkach ze spuszczoną głową. Wpół cicho ozwała się pani Doliwowa.

— Państwo wiedzą o wypadku pana Seweryna?

Marja zadrżała, ale niżej jeszcze głowę spu-

ściła, Ciotka poruszyła się żywo. — Cóż się stało?

— O! ja to zawsze prorokowałam — dodała sąsiadka, skutek tych częstych odwiedzin u hrabiego nadszedł, to było nieuchronne.

— Ostatnią razą, mówiła, państwo wiedzą co się wydarzyło z panną Teklą? wszyscy milczeli.

— Teraz to coś gorszego. Pokazuje się ze wszystkiego, że Seweryn wpadł w oko Niemce — Hrabia zazdrośny zrobił jej scenę, a ona wprost uciekła do Tarnoboru!

Hasling śmiał się —

— Czego się pan śmieje? spytała serjo pani Doliwowa. Kończę opowiadanie. Zaledwie umknęła, pogoń za nią. — Nadjeżdża Rotmistrz, wyrzuca na oczy pannie Tekli jej postępowanie — ta zmięszana już się decyduje wracać do Śliwina, ale pan Seweryn nie dozwala, opiera się, klóci i siłą odpiera Rotmistrza. Słowem, piękna Niemeczka mu została.

— Cha! cha! cha! zaśmiał się Hasling —

— Czego się pan śmieje? —

— A! a! bo to ktoś pani niepocziwą bajkę splótł —

— Proszę pana, zaczerwieniona odezwała się sąsiadka, to jest impertynencja.

— Żadna *impertencja* Mościa Dobrodziejko, bo to wszystko bajka —

— Jak pan to śmiesz mówić!

— Śmiem, bo na połowę oczyma mojemu patrzałem, a połowę z ust najinteressowszych, bo od Hrabiego słyszałem.

— Pan byłeś u niego?

— Za interessem; ale taki był poruszony że wszystkim opowiadał kto chciał słuchać.

— Więc nie tak było? spytała Scholastyka.

— Całkiem przeciwnie. Hrabia pogniewał się na swoją niemkę, ta dumna i zła z domu jak stała uciekła, sama nie wiedząc dokąd bieży. Na wpół drogi spotkał ją płaczącą pod drzewem, jadący konno Seweryn Kotlina. Zaczęła przed nim na swój los narzekać, że się nie miała gdzie podziać — Co było robić?

hę? musiał jęj powiedzieć — Jedź pani do Tarnoboru, ale żeby ludzie nie brali na języki, ja przeniosę się do Glinek. Cóż się tedy dzieje? Hrabia wysłał za nią Rotmistrza, ten goni i dogania aż w Tarnoborze. Ale panna Tekla nie chce jechać i łaje — Wiła nie w cie mnie go bito, myśląc że pannie chce się być zmuszoną, powiada. Ja gwałtem cię wezmę — Ona na to — Nikt mnie gwałtem nie zmusi, bo jestem pod opieką pana Seweryna, a pan Seweryn potwierdza. A co było robić?

Doliwowa złośliwie się uśmiechnęła.

— Pan Wiła odjechał z kwitkiem, a Seweryn w jego przytomności, zawsze żeby ludzie nic nie gadali — ruszył do Glinek. Ot, jak było.

— Znać że pan Seweryn ma w panu gorliwego przyjaciela i obrońcę — winszuję mu, ale ludzie inaczej to opowiadają —

— Ludzie pani Dobrodziejko, opowiadają jak im z tem lepiej, wygodniej.

Konwulsyjnym ruchem rąk szarpnęła Jej-

mość chustkę na sobie, zżymnęła się i siadła dalej na kanapie —

— A więc nam zapewne powie i dalszy ciąg historij?

— Nie wiele, bo nic nowego nie zaszło.

Hrabia parlamentuje; panua Tekla gniewa się niby jeszcze i siedzi w Tarnoborze, Seweryn w Glinkach ciągle.

Marja podniosła rozjaśnione oczy i wejrzenie jój weselsze nieco, spotkało się z Ciotki umyślnie poślanym wzrokiem. Scholastyka mówiła jój — A widzisz — Ona odpowiadała — Daj Boże!

Nie potrzebujem mówić, że Doliwowa skwaśniała, schmurniała i kilka tylko słów odezwała się w czasie bytności Haslinga; widocznie starała się go przesiedzieć. Nareszcie podniósł się i wziął za czapkę myśląc żegnać. Cio-cia przez wdzięczność że zaprzeczył opowiadaniu Doliwowój, pożegnała go tak grzecznie, tak uprzejmie, że w istocie staremu mogła się głowa zawrócić, a sąsiadka burzyła się z gnie-

wu. Marja uśmiechnęła mu się także słodziuchno i nie wiedząc jak zapłacić, za trochę nadziei, prosiła aby się córkom kłaniał i przywiozł je kiedy do Górowa —

Hasling śpiewał mazurka siadając na bryczkę tak był szczęśliwy.

Ale Doliwowa została —

Długo, długo milczała, gryzła usta, ruszała się, miętoszyła, aż nareszcie — wznowiła opowiadanie popierając je dowodami —

Nikt nie słuchał!

— A to tak! zawołała w duchu Jejmość — rozumiem! Sewerynek wam w głowie, ale my go zajezdzim.

I szybko pożegnała śpiesząc do Pokotyłow-szczyzny.

Jegomość siedział na ganku z fajką, gdy żona wracała, poznał zły humor i pośpieszył drzwiczki otworzyć.

Milcząca wysiadła i weszła do pokoju — Tu rzucając kapelusz na kanapę, rzuciła okiem dumnie —

— Gdzie Teodor.

— Co to tobie *Maszerciu*

— Co mi? co mi? słyszysz że pytam o Teodora?

— Todziunio na polowaniu — ale po niego posłać można —

— Nie potrzeba.

— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej co się stało?

— Tobie! alboż masz głowę do czego innego jak do fajki i kabały?

— *Maszerciu* w złym humorze? pokornie rzekł mąż.

— Bo mi chybiono!

— Kto? gdzie? Jezu Marja! tobie! zawołał chwytając się za głowę Doliwa i fajka mu z rąk wypadła. Tobie!

— Tak! mnie!

— Ale któż?

— Ten niepoczciwy szoldra Hasling —

— A a a! on! on! I cóż to było?

— Wystaw waćpan sobie, ja opowiadam

historją téj niemki z Sewerynem, a ten śmie mi mówić, że nie tak było i wykręca ją po swojemu — Słowem, com rachowała na tę historją — to z niej jeszcze Seweryn może skorzystać!

— Śmiał ci zaprzeczyć! powtarzał mąż.

— A żebyś widział, jakie tam temu trutniowi grzeczności robili!

— Jemu? cóż to znaczy?

— Czy ja wiem! może pochlebić się umiał téj staréj — temu granadjerowi w spódnicy — którą Teodor nazywa....

— Więc cóż każesz lubeczko?

— Teodora! Teodora niech zawołają!

Doliwa wybiegł i posłał ludzi po Teodora.

— Wódki kolońskiej mi waćpan przynieś, zawołała gdy wszedł, poduszkę moją pod nogi, poduszkę pod bok i kawę dawać —

Trzeba było widzieć jak z fajką na ogromnym cybuchu, którą urywanym sposobem, niósł niekiedy niespokojnie do ust, aby nie za-

gasła — pan Doliwa zwił ją za fiaskami,
poduszkami i kawą.

Jejmość leżała zła i gniewna — W miarę
jak się coraz myślami gryzła, zrzuciła cze-
pek, kołnierzyk, chustkę, rozpięła suknię, po-
zdejmowała trzewiki i rozpięła włosy. Strasz-
na była! a! straszna! i nie dziw że stary Do-
liwa w kątku siadłszy, fajkę z największą
dyskretyą palił, cicho się i spokojnie trzy-
mał i na rozkazy tylko zdawał się oczeki-
wać.

Teodor się opóźniał, zaczęto się niecierpli-
wić; nareszcie psy zaszczeakały w ganku —
to on! Matka zerwała się z kanapy; ojciec
z kąta.

— Wystaw sobie —

— Wystaw sobie —

— Milcz Waćpan, to do mnie należy —

Stary wzruszywszy ramionami poszedł do
kąta, matka zaczęła opowiadać synowi. Ten
słuchał gładząc brodę.

— Jedź mi Waćpan do tego szoldry, nie-

pocziwego i wyzwij go — Gdybym ja nawet mówiła nie tak jak było — co miał za potrzebę zawstydzić mnie i w oczach ludzkich przeżyć.

— Hasling nie wyjdzie, to darmo — rzekł ojciec z kąta cicho.

— Myślisz!

— Niewyjdzie mamó, w przeszłym roku —

— A prawda tym lepiej wyłajesz go —

— Zapewne, a dwóch synów drągałów, co strzelają jak K — — a biją się w pałasze jak N — ; z temi będzie do czynienia.

— Ja się nie boję! rzekł zuchując Teodor. Matka zamyśliła się.

— Dajże pokój! mam na nich inny sposób pomścić się, zobaczymy.

I siadła na kanapie.

— Poślijcie po Kulikowicza.

— Cóż to będzie spytał syn.

— Brzydziłam się zawsze tym człowiekiem, odparła niby do siebie mówiąc Jejmość, ale kiedy mnie zmuszają do tego podam mu rę-

kę. Zresztą nie gorszy [Diakowicz od tego Szoldry — Nie nie mam przeciw niemu. Zna przynajmniej winne dla nas uszanowanie. Ubrał sobie wprawdzie niedorzeczne staranie w Górowie, ale o to mniejsza.

Ruszyła ramionami!

— Tém gorliwiej pomagać nam będzie —

— Ale w czémże? rzekł ojciec troskliwie—

— Waćpann w głowę wszystko potrzeba kłaść łopata, — Czyż się nie domyślisz —? Kulikowicz weźmie na siebie potwierdzenie mojej powieści w Górowie; boć Panna Tekla dotąd zostaje w Tarnoborze? Powtóre, niech się trochę powścieka ten niemczysko, namówi się Kulikowicza aby mu się ostro o swoje dopominał.

— O co?

— Waćpan zapominasz, że wszyscy w Sąsiedztwie są winni Kulikowiczowi, i Hasling siedm tysięcy, — wyrobiono nawet podobno tradycją, ale się do czasu wyprosił — Ale poczekajcież.

Pan Teodor wyszedł posłuszny matce, wysłać za Kulikowiczem ale wprędce powrócił.

— Kazałem pilnować, rzekł — z rana pojechał do Górowa, a wieczór miał tu być w swojej części, dla skończenia ze Szmulem o aręde.

— Dziś tedy wieczór ułożemy się. —

Gdy się to dzieje w jednym dworze, panowie Pokotyłowie po wieczornej przechadzce ze strzelbami na plecach, zjawili się w ganku. Zaproszono ich do środka dla nowej narady, wystawując Haslinga jako nieprzyjaciela całego Sąsiedztwa i spokoju publicznego.

— My — zawołała pani Doliwowa wszyscy jesteśmy przyjaciółmy i nie chcemy sobie szkodzić. To nie sekret, że Teodor starał się o pannę Marję nim na nią spadek ten przyszedł; a inni (spojrzała na Fabiana) dopiero się opatrzyli gdy pobogaciła — Inni (zwróciła głowę ku Porucznikowi) myślą że i panna Scholastyka jeszcze nie postarzała. Może być że to wszystko jest śmieszne i nie na rękę

nam, ale nie uważajmy na to i z kim żyliśmy jesteŃmy w przyjaźni—Niech panna decyduje—Co się tycze Haslinga to intrygant, pochlebca i szkodliwy człowiek — Na niego wszyscy powinniŃmy mieć baczoŃć —

— I skonfederować się — rzekł z pod pieca mąż.

— Jako przeciwko publicznemu nieprzyjacielowi.

— Potrafiu mu okazać co o nim myŃlemy.

— A jeŃli się obrazi? rzekł głoŃ z pod pieca:

— Niech wyzywa—

— On! ba! nie — ale syn który —

— My do synów nie mamy pretensyi—Syn za ojca nie odpowiada —

— Tak — ale syn za ojca ujać się moŃe?—

— Hm! My z niemi nie mamy do czynienia.

— Ale oni z panami mieć mogą?

— Wać pan jesteŃ tchórz! przerwała Ńona.

— Nie — tylko oŃróŃny, a oŃróŃnoŃć nie wadzi nigdy —

Wszyscy zmiłkli.

Jejmość widocznie strawić nie mogła, poniesionego w Górowie wstydu. — Wieczorem zjawił się Kulikowicz, nowe opowiadanie i narada nowa. — Uradowany z przypuszczenia do tajemnicy spisku, nadęty swoim znaczeniem, uspokojony tém, że synowie czepiać się go nie mogli, bo nikt wierzyciela na pojedynkę nie wyzywa, wprzód nie opłaciwszy (co było w stanie Haslinga niepodobieństwem) podjął się działania i działania czynnego.

Gdy tak sąiedztwo burzy się i niepokoi, ustawicznie zwracając oczy na Górow, któremu spocząć ciągle odwiedziny na chwilę nie dają — w Górowie smutno, pomimo przybyłych dóbr. —

Krajeży processem nastraszony o ukochany lasek, zachorował. Słabość ta bezimienna, choroba starych, której zdeterminować nie można; wyzucie z sił, gorączka, kaszelek — Z krzesła przeniósł się do łóżka. Panna Scholastyka i Marja pielęgnują go i starają się usunąć pierwszą przyczynę, niepokój o lasek. Pan

Piotrusiński zaręcza, że odebrać mu go nie mogą. Krajczy głową tylko kiwa nie dowierzając.

A u łoża starego, co troskliwie teraz dowiadujących się przyjaciół? Od dziesiątej ranniej do późna stoją powozy na dziedzińcu, pełne gości pokoje — Marja napróżno i zawsze napróżno jeszcze szuka oczyma Seweryna. —

Nie ma go — Tylko goście szepczą, że bezskutecznie parlamentuje Hrabia, bo panna Tekla postanowiła zostać u niego.

Wieczorami widząc siostrzenicę smutną, zamyśloną, mało mówiącą, i niedającą się niczem ożywić, Ciotka wysila się na różne sposoby pocieszenia.

Sprowadza jój książki, czyta, dowcipuje znużona, z uczucia obowiązku, z dobrego serca. Ale ani rozmowa, ani książki, ani nawet nowy wiedeński Stejna fortepian, który zastąpił stare piano Maryi — nie mogą ją zająć, nie umieją rozweselić. —

Marja wzdycha, wspomina o klasztorze.

Na to wspomnienie, Ciotka rozśmiała się serdecznie.

— Kochanko, zkądże to powołanie tak nagłe? Mówmy przecie otwarcie —

Gniewaź się na Seweryna, nieprawdaż? — Te dzieciune plotki niecierpliwią cię, myślisz że przestał myśleć o tobie? — Nie spuszczaaj oczów! czytam to nie z nich ale z całego postępowania twojego. — Droga moja Maryniu — bodajby takie kłopoty i zmartwienia! Małoż znasz Seweryna, abys go posądzać mogła? Podobneż to do niego co o nim mówią? Sama powiedz? Widzisz — milczysz — nie ma w tém sensu.

— Ale dla czego nie przyjeżdża?

— Przyznam ci się, że przy tym potopie gości, jaki mamy, nie dziwię się Sewerynowi iż w ich liczbie stanąć nie chce. Nieśpieszy się, aby i jego nieposądzono, o bezwstydną chciwość.

— Moja Ciociu, my — my, mogliżbyśmy to

pomyśleć, gdy ostatek oddawał, dla zapewnienia nam spokojności!

— Dmny, boi się, aby nie pomyślano —
I właśnie gdy wszyscy lecą, śpieszą, i cieszą się — on się usunął.

— Cóż, na zawsze! A! moja Ciociu przyznam się, że nie pojmuję przywiązania które dumie ulega. To duma, to próżność tak się bać o siebie —

— Pozwól że duma szlachetna —

— Nie, nie powiem tego —

— Bo się gniewasz?

— Może —

— Cierpliwości Maryniu! cierpliwości! Niegodziwa! Teskni, nudzi się, przy takim konkurentów doborze!

I Ciocia serdecznie się rozśmiała —

— Posłuchaj tylko — na czele Pan Teodor! z nieoszacowaną matką, z lubym ojcem! Co za familja na parawan Maryniu! Maryniu! Maryniecuku! roześmiej że się przynajmniej!

A! przecie! — powtóre pan Fabian, który

co chwilą chce ci grać do tańca i komponuje dwa razy na dzień siurpryzy z flotrówerssem i skrzypcami — Kochanie cenić ich nie umiesz. O! poruczniku nie mówię bo ten do mnie należy wyłącznie, Wczoraj zachwycił się moją ręką. Widziałam że z tego tematu zabiera się na straszne warjacie i umknęłam. A Kulikowicz, a Haslingi! Mamy doprawdy czém się bawić — Marynin Seweryn na potém, bo to na serjo — Bawże się proszę — Już ja ci twego zbiega dostawię — Nie bój się — nie długo wytrzyma, przyjedzie.

— Tylko proszę Cioci —

— O! o! bądź spokojna, nie skompromituję cię, możemy jeszcze poczekać.



SEWERYN.

SEWERYN.

Nazajutrz, rano, raniuchno wstała Marja, Krajczy spał jeszcze, Ciocia już biegła po domu; słońce wśród gęstiej mgły wiosennej wznosząc się po nad wody i błota, i osłaniając w pół przezroczystą niebieskawą szatą, dalekie gaje, wierzbowe groble i chaty wioski – wznosiło się powolnie. Jeszcze rosy perliste świeciły na trawach w cieniu pozostałych, kwia-

ty, krzewa, bory tchnęły tą wonią niepochwycaną, orzeźwiającą, której żadna sztuczna najwytorniejsza zastąpić nie potrafi. Marja wykradła się do brzeziny za dom.

Teraz Ciocia zrobiła z niej ogródek. Rozwalono płoty dzielące brzezinę od sadu, a kręta uliczka obiegała w koło po zaroślach, wysypana piaskiem, ostawiona ławeczkami.

Na jednej z nich usiadła Marja — było to właśnie miejsce, gdzie się ostatni raz z Sewerynem widziała — Myślała o nim, zawsze o nim, o nim tylko. Łzy pokręciły się jej w oczach.

Nigdy mu tego nie daruję — zawołała — Tak długo, tak uparcie nie dać nawet wiedzieć o sobie.

Rżenie konia przerwało myśli — tentent od strony boru dał się słyszeć — ale że kilka razy i Pan Teodor naśladowanym sposobem tedy, konno przejeżdżał, a godzina była ranna bardzo, nie dowierzając pobiegła ku drodze.

Głos dał się słyszeć —

— To on — !

— A! przecież! Seweryn mówił z gumienym, niepostrzegając Maryi.

— Jak się ma pan.

— Chory.

— Bardzo chory?

— Kto to może wiedzieć, rzekł stary, kiedy ci panowie jak chorzy? Oni się kładą, byle palec zaświerzbiał! Krajeży nasz leży, ale chwalić Boga, nie niebezpieczny. —

— Obudził się już?

— Podobnoć nie jeszcze.

— Mój kochany — gdybyś się wrócił a dowiedział. Panie wasze pewnie śpią, a ja bym się tylko ze starym panem chciał zobaczyć.

— To tak! zawołała gniewnie Marja biegnąc do domu.

— Ciocin! ciocin!

Scholastyka spojrzała i zgadła —

— Przysięgnę że Seweryn przyjechał! Inaczéj patrzysz —

— Tak! przyjechał! Ale nie wie Ciocia. Sły-

szalam rozmowę jego z gumienym, chce się tylko widzieć z stryjem i wrócić.

— O! zapewne! przerwała Ciotka — i wybiegła w ganek.

Własnie gumieny wchodził.

— Idz powiedz panu Kotłniewskiemu, że Krajczy chce się z nim widzieć i czeka na niego — nie mów nic o mnie? słyszysz?

— Idę.

— Nim ty się ubierzesz — ja się z nim muszę rozmówić. — I weszła do bawialnego pokoju; Marja pobiegła do siebie z bijącym sercem — i otwierając drzwi raz jeszcze — dodała.

— Ciociu — nie puszczaj go!

— Bądź spokojna!

Do pokoju Krajczego potrzeba było koniecznie przechodzić przez bawialny, Seweryn zjawił się wkrótce na progu; zmięszał na widok Cioci i zaczął przeproszać.

— To ja przepraszam, że mu zapieram drogę do Krajczego i Krajczy śpi. — —

— Ludzie mi powiedzieli. —

— Musieli się omylić — niech pan siada.

— Ale tak rano — niech pani daruje!

— A! porzuciłżebyś te ceremonje swoje! nie mogąc wytrzymać, odezwała się Scholastyka. Nieznośny jesteś z niemi. —

Ot, powiedz mi lepiej — co się z Waćpanem stało? nie byłeś — Ile czasu! Godzi się to! Czyż dla panny Tekli godzi się o dawnych zapominać przyjaciółach?

Na to imie, zczerwieniał biedny chłopiec, zmieszał się i dodał szybko.

— Pani — pani także mnie posądzasz?

— A! spodziewam się! Mając w domu damę jeszcze tak niebezpieczną jak ta! I tyle czasu niepokazywać się w sąsiedztwie, to coś znaczy?

— Bardzo nieszczęśliwie sądzą mnie państwo — panna Tekla Drolling, siedzi wprawdzie u mnie, ale ja mieszkam w Glinkach i od czasu jej schronienia, nie byłem w Tarnoborze. —

— I nie byłem w Górowie —

— To co innego —

— Radabym wiedziała?

— Mielście państwo aż do zbytku gości.

— Tak — bez których byśmy się obesзли.

— Zapewne! i bezemnie! rzekł Seweryn —

— A zapewne! i bez niego! dodała Ciotka
bośmy ogromnie podumniały od czasu jak nas
nieznajoma krewna zbogaciła — osądził ci nas
ślicznie, dziękujęm pokornie — Oj! panie Se-
werynie, panie Sewerynie! serjo by się gniewać
można.

— Za co?

— Za dziwne wyobrażenia jego! Cóż to się
u nas zmieniło? Czemu nie byłeś tak długo —
Powiem panu otwarcie — zmartwiłeś Marję —
bardzo niepotrzebnie — A w jego niebytno-
ści —

Seweryn ucałował podaną rękę —

— Nie bądź że dzieckiem proszę — Teraz
jesteśmy swobodniejsze, szczęśliwsze — chcesz
że dla tego nas odbiedz! Marja cię kocha.

— Pani! to być nie może.

— Pytam się kochanego pana, po co bym mu taki fałsz mówiła? kto odemnie lepiej o tém wiedzieć może?

— Zapewne — wszakże —

— Wszakże, nie męcz Waćpan i siebie i nas bezpotrzebnie — Dobra jest bardzo szlachetna duma, ale w miarę — nikt pana z innymi gośćmi terażniejszymi nie porówna — pamiętamy dobrze żeś był z nami przeciwko wszystkim, gdy nie było koło nas nikogo, i chciałeś dla nas poświęcić — wszystko co miałeś. — Wdzięczność nakazuje —

— Przepraszam panię, ja nic nie chcę być winien wdzięczności.

— A! rozumiem!

— Tego się lękam.

Nie masz się Waćpan czego lękać — Albo i dziś co znaczyło, żeś chciał się tylko z Krajczym widzieć?

— Słyszałem że był chory —

— Więc koniecznie chcesz tylko w bie-

dzie się pokazywać! a z nikim niepodzielić dobrej chwili? Dziwak jesteś, mój kochany panie Sewerynie — bardzo cię szanuję, ale wiele do niego mam pretensyi. — Siadaj — i nie rusz mi się ztąd, Krajezy śpi, Marja się ubiera, każe tu podać herbatę.

W chwilę potem, wszyscy siedzieli u okrągłego stołu, ale Marja jeszcze udawała rozgniewaną na Seweryna. Ciotka swoim sposobem starała się ich zbliżyć; i nakoniec dopięć tego nie mogąc powstała i rzekła.

— Nie udawajcież proszę gniewu — powiedźcie sobie że się kochacie, a ja was pobłogosławię!

Seweryn spojrział na Marję. —

Ona spuściła oczy, ale uśmiechnęła się mimowolnie.

— Zgoda? nieprawdaż? spytała Scholastyka powtórnie.

Ciche pocałowanie podanej ręki, zwiastowało pożądane pojednanie —

— No, teraz jestem o was spokojna i idę dysponować obiad. —

To mówiąc ukloniła się i wyszła. — M

Ta chwila którą sam na sam z sobą spędzili kochankowie (co za wyraz niegodziwy, bez którego się przecież obejść nie można) była jedną z najrozkoszniejszych w ich życiu. Pierwszy raz nie lękając się narzucania Sewerynowi, wynurzyć mu potrafiła Marja i objawić jaką była; pierwszy raz on także uniesiony, porwany przywiązaniem, szczęśliwy, zapomniawszy na to co go otaczało, potrafił powiedzieć kocham — z tym wyrazem, z uczuciem, wejrzeniem, które wątpliwości nie zostawiały. I nie nie stawało im na drodze i przyszłość jasna, spokojna, piękna otwierała się szeroko przed nimi.

Jedno przy drugim, z rękoma splecionemi, cicho rozmawiając jakby się podsłuchania lękali, bez poruszenia, bez pamięci na to co ich otaczało, przesiedzieli godzin kilka. Krajczy wstał dawno i modlił się się powoli o kiju przechadzając przed oknem otwartem — Ciotka przesunęła się przez pokój kilka razy, oni tak byli sobą zajęci że jej nie widzieli.

Nareszcie powtórzone umyślnie schrząkania i kaszle starca, ściągnęły Seweryna dla dania, *Dzień dobry*, Krajczemu; Marja jakby zawstydzona uciekła ze swojém szczęściem i zamknęła się w swoim pokoju. Ciotka weselsza także uwijała się.

— Konia pana Seweryna, powiedziała głośno na ganku gumiennemu, zamknąć na klucz w stajni, dać mu owsa, siana, wody, ale go nie podawać aż za mojem pozwoleniem — Słyszysz Waćpan.

— Słyszę i spełnię. A i tak, co do Seweryna tedy musiał pozostać dzień cały.

Wieczorem gdy odjeżdżał — Ciotka znowu wzięła go na stronę.

— Cóż myślisz? spytała — wiesz teraz spodziewam się, że Marja cię kocha? Co będzie dalej?

— Nie wiem.

— No to ja ci powiem. W tych dniach oświadczysz się Krajczemu.

— Ale.

— Bez żadnego *ale* spodziewam się —
O weselu pomówiemy. Tym czasem zrobim
pyszne zaręczyny, na które muszę sprosić
całe sąsiedztwo — Ale cicho! o tém ani sło-
wa, gotuję im miłą siurpryzę. Wiesz co z na-
mi dokazywali kiedyśmy byli w położeniu
ciężkiem — pozwól mi maleńkiej zemsty — Ja
się na nich mszczę grzecznością i nadziejami,
którymi szafuję — Zobaczysz.

— Seweryn się uśmiechnął.

— Wystaw sobie panią Doliwowę na za-
ręczynach!!

Uszczęśliwiony odjechał Seweryn, ale uspo-
kojony teraz o tłumaczenie pobytu panny
Tekli w Tarnoborze; pośpieszył się tam do-
wiedzieć.

Jéj już tam nie było.

Hrabia Hubert jak wszyscy ludzie słabego
charakteru, zaledwie pozbywszy się nieniki,
którą chciał wyprawić, ale wcale w inny
sposób; postanowił ją odzyskać. Rotmistrz
powróciwszy raz pierwszy z niczem wypra-

wiony został z gniewem i zabroniono mu pokazywać się aż dopełni woli pańskiej, aż powróci z panną Drolling. Stary lis wpadł w własne sidła. Kto inny na jego miejscu pożegnał by Hrabiego, ale Wile gdzież się było podziąć, co z sobą począć.

Panie Hrabio rzekł — sam chciałeś

Chciałem do stu katów, ale nie chcę teraz, niech wróci.

A gdyby przyjęła jaką ofiarę i przyzwolicie odjechać do Wiednia namówiła się?

— Hrabia nie odpowiedział.

Rotmistrz wyczekawszy u drzwi na odpowiedź, której nie otrzymał, odszedł i udał się znowu do Tarnoboru.

Ofiarował pannie Tekli cztery konie, powóz i tysiąc dukatów, ale Niemka kazała go wypchnąć za drzwi.

Nazajutrz Wiła powrócił znowu, rachując że kobiece gniewy, rozpacz i heroiczne postanowienia zwykle trwają nie długo.

Ale na ten raz się omylił — powrócił jeszcze z niczem.

Tym czasem panna Tekla miarkować zaczęła, że nie ma z sobą co począć. Pozostać długo u pana Seweryna nie mogła,jechać dalej nie miała o czem, nie miała do czego. Listy siostr i braci które zrzadka odbierała, nie zapowiadały polepszzonego bytu. Familja po śmierci ojca się rozpiechła utrzymywała jak mogła. Róża z Adelajdą, należały dawno już do baletu i ciężkie wiodły życie — Bracia służyli wojskowo, utrapiony chleb pracy jedząc.

Samotna rozmyślając, ochłodziła niemka i gdy Wita po raz czwarty przyjechał, zmiekczyć się dała i namówić do powrotu. Warunkami było — zapewnienie jój spokojnej przyszłości, przeproszenie i coś trzeciego czego nie chciała Rotmistrzowi powiedzieć, zostawując do swego przybycia do Śliwina.

— Niech wraca, zgoda na wszystko! rzekł Hrabia, któren uczuwszy przez dni kilka samotności, jak mu jój brak było, wysłał natychmiast karetę do Tarnoboru.

Rotmistrz całą tą sprawą wielce był niezadowolniony. Lękał się zgody i nie bez przyczyny. W czasie niebytności starał się wprowadzić, zastąpić niemkę, domorosłą ekonomówną, ale Hrabia patrzeć nawet na nią nie chciał. To było najgorszym znakiem! Właśnie domyślił się, że Tekli już z domu nie potrafi wyrugować, że panowanie jej restaurowane, silniej jeszcze niż poprzedzające ugruntuje się.

Na grobli pieszko wyszedłszy, spotkał powracającą Hubert. Burzliwe z początku było przyjęcie, zdawał przypatrywał mu się Rotmistrz i przeklinał dzień, którego się w to wniósł.

— Hrabio, odezwiała się podając mu rękę Tekla — Pamiętasz, że gdym jechała z tobą, obiecałeś ożenić się ze mną — żeś mi znaczny uczynił zapis, któregoż zdarłam. Nie jestem chciwą, nie możesz mi wyrzucać niedochowania wiary — dla czegoż chciałeś mnie odepchnąć?

Hrabia złożył wszystko na Rotmistrza.

— Jesteś słaby i powodujący się jak dziecko, odparła Tekla — za pierwszy warunek kładnę oddalenie pana Wily.

Słowo?

Hrabia zachwiał się.

— Wahasz się, żegnam cię —

— Cóż on ci szkodzi? jak się bez niego obejde?

— Wybieraj! Ja lub on? —

— Tekło czyż koniecznie?

— To moje ostatnie słowo — Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— Na honor!

— Nie umiem dwa razy słowa przysięgać —
Oddalę go.

— Powtóre, ażebyś strawiwszy młodość, nie wróciła oplakiwać jej w nędzy, zapewnisz mi —

— Co zechcesz —

— Umówim się także o sumę. Naówczas ja także będę mogła opuścić cię, kiedy mi

się pobyt w Sliwinie naprzykrzy, i wrócić do swoich?

— Zostaniesz zawsze ze mną —

— Zawsze? wątpię! Zobaczymy! Znurzyłeś się mną — musim się rozstać.

Wsiedli do powozu i odjechali — Cały wieczór spędził Hubert sam na sam w pokojach panny Tekli; i nikt ze dworu przypuszczony nie był.

Nazajutrz Rotmistrz wezwany rano do sypialnego pokoju, usłyszał czego się spodziewał — pożegnanie, W nagrodę wiernych usług, dał mu Hrabia dożywociem dziesięć chat w Polesiu.

Wiła zgrzytał zębami, ale opierać się nie było można. Tekla pilnowała aby odjechał we dwa dni, lękając się zrozpaczonego człowieka.

Cztery kasztanki wspaniałe darowane, poniosły go w daleką stronę. Durezyński uśmiechał się, zazdrościł trochę i skrobał się w głowę.

Tekla objęła rządy domu, z nową władzą, nie mając już współzawodnika i przeszkody.

Nie potrzebujemy dodawać, że Hrabia rzekł się procesu z Krajczym i formalnie go zakwitował, co mu zdrowie na jakiś czas powróciło. Ławrysiewicz sporządził zapis dwóch kroć sto tysięcy dla panny Drolling, którego Hrabia przyznał w Ziemstwie — Tak wszystko wyszło na korzyść ulubienicy i jeden tylko Wiła szwankował, jeżeli to szwankiem nazwać było można.



The first thing I should mention is that
 on the 1st of January I received
 the first letter from you. It was
 very kind of you to write to me
 and let me know how you were.
 I am well and hope this letter
 finds you the same. I have not
 much news to write at present.
 The weather is very cold here
 at present. I have not much news
 to write at present. I have not
 much news to write at present.

I am well and hope this letter
 finds you the same. I have not
 much news to write at present.

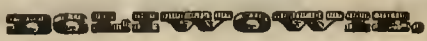
I am well and hope this letter
 finds you the same. I have not
 much news to write at present.

I am well and hope this letter
 finds you the same. I have not
 much news to write at present.

•••DOLI WOWIE!•••

1810

[Faint, illegible text from the reverse side of the page, appearing as bleed-through.]



Od ostatnich odwiedzin Seweryn ośmielony, zachęcony przez Ciotkę, wezwany słodkim głosem Marij, która go prosiła aby częściej bywał; puczał odwiedzać Górów jak dawniej. Dnie płynęły jasne, ciche, a krótkie jak błyskawice. Któż takich dni choć kilku nie miał w swojém życiu? Któż ich nie pamięta, nawet gdy mu szron siwizny na głowę

spadnie — na wspomnienie złotych chwil owych
przelotnych a nigdy nie zabytych, łza mu się
ciśnie do oczu —

Nigdy — nigdy już one nie wrócą — dla
niego —

Powtórzy się miłość, ale nie wrócą dni
pierwsze — druga już nie jest tą naiwną,
pierwiastkową pół dziecinną i tak zaufanie,
tak nierozumnie a rokosznie patrzącą w przy-
szłość, druga rozumie jutro, druga pamięta
wczoraj, porównywa, przeczuwa, — pierwsza
nie ma i początku, w koniec nie wierzy, ży-
je sobą cała.

Pierwsza miłość spija się w życia począ-
tku, szybko, niepowrotnie, a szczęśliwy ko-
mu była ostatnią! Bo druga, trzecia, czwarta
nie nasycą go lepiej, a zatrą pierwszej wspo-
mnienie — Pierwsza, jedyna!!

Gdy spojrzę na pierwszą miłość dwóch mło-
dych, niewinnych istot; — poglądam na nią
z czcią, ze łzami w oczach, z wzruszeniem i

szacunkiem. Tylko poczciwi kochają. Poddli poczynają od rozpust i na niej kończą.

Ale i pierwsze i następne odwiedziny Seweryna, nie przeszły niepostrzeżone.

Pani Doliwowa mszcząc się na Haslingu, miała czas przecie zwrócić oczy na to co się działo w Górowie — Seweryn przyjeżdżał rano, bawił do późna, Często we dnie z Marią siadywali sami w ogrodzie, lub jój pokoiu. Ponfalość ich, wesołość, nie uszły bacznych oczu.

Niespokój owładał straszną sąsiadką.

Teodor wzgardliwie się uśmiechał, zafany w swą brodę, wasy i talenta, których urokowi, oprzeć się wedle niego, było niepodobna.

— Jedź bo i waćpan do Górowa — mówiła matka. On tam słyszę siedzi dnie całe, Taki dobry Teodor mój, jak i on.

Co to on lepszego! A natręt! W pierwszych dniach — cicha woda — usunął się

był i nie pokazywał, myślałam że ma rozum, ale nie, taki włazi nam w drogę —

A to słyszę całe dnie siedzi, pannę bałamucić — Niepojmuję Ciotki! która na to patrzy i dozwala.

Człowiek tak podejrzanéj moralności!

Jedź bo i ty Teodorze, jedź rano i siedź dłużej.

— Raz byłem rano, ale czekałem godzinę póki się panna Scholastyka ukazała i z nią samą przesiedziałem aż do obiadu — panna Marja — wyszła tylko na obiad i znikła potem. —

— A widzisz!

— Ale była chora!

— Chora, Czemuż słyszę Seweryna zawsze przyjmują?

— Kto tam wie! ludzie przesadzają — A powiem Mamie, że jéj spojrzenie na mnie coś mówi —

— No to kiedy uważasz — to się oświadczy, albo pozwól — ja.

— Niewypada Mamo, zbyt rychło.

— Zapewne, formalnie się oświadczać, ale gdybym ja, tak po staropolsku, poufale spytała Scholastyki, czy możesz mieć jaką nadzieję?

— Jak Mama uważa.

— Już spuść się na mnie, nie będzie to źle! Zobaczysz — Po obiedzie pojedę.

Jakoż po obiedzie pojechała; konie już doskonale drogę znały i furman nie pytał nawet dokąd jechać.

Zmarszczyła się pani Doliwowa, zastawszy Seweryna. Ten przywitał ją grzecznie —

— Dawnośmy pana nie widzieli —

— Gospodarstwo — zajęcia —

— Słyszeliśmy coś i o *przykrości* (z przy-ciskiem) jaką pan miał z tą niemką —

— Wybaczy pani, nie miałem innój przykrości nad to, że kilka dni przemieszkał w Glinkach.

Pani Doliwowa uśmiechnęła się, usiadła

przy Ciotce, Seweryn z daleka przy Marij, poczęli rozmawiać cicho —

Wytężała ucho jejmość, ale nic złapać nie mogła, prócz znaczących wejrzeń i poufałości do jakiej Teodor dotąd dojść nie mógł. Korzystając z czasu poczęła swój interess.

— Pozwoli pani — mam kilka słówek —

Należałoby mi z Krajezym pomówić, ale widząc jego zdrowie, nie chcę go zatrudniać — Do niej więc się obracam —

Był to zwyczaj u nas, że gdy młodzieniec, poczynął staranie, zwykł był pytać, czy może bywać, i mieć jaką nadzieję — Nie tajno pani, że mój Teodor uczęszcza do ich domu —

— Nie od dawna —

Jejmość się zaczerwieniła — Tak jest, rzekła — ale coraz częściej. Jego odwiedziny dowodzą — że w tym domu radby sobie szukać losu i szczęścia przyszłego — mnie jako matce wolno spytać, czy nie będzie mu wzięte za złe, czy może mieć jaką nadzieję?

Scholastyka udała że doskonale zrozumiała,

udała że ją to zażenowało i spuszcżając oczy odezwała się —

— Prawdziwie — tak krótko się znamy — nie umiem zaręczyć — nie mogę powiedzieć stanowczo — Ale z przyjemnością widzę w tym domu pana Teodora —

— Ot tobie! Do siebie wzięła! rzekła w duchu Jejmość — Co tu począć?

Ciocia nielitościwa, kończyła.

— Decydować się tak szybko niepodobna, musimy poznać się lepiej i wzajemnie ocenić. Przy tém wielka różnica wieku.

Sąsiadka cofnęła się na kanapie i zacięła usta —

— Wzięła do siebie i chce złapać chłopca! ale zje licha —

— Pani, rzekła głośno, zapewne nie wyrozumiałaś mnie —

— Owszem, aż nadto — ale decydować się —

— Ja tego nie wymagałabym — Staranie mego syna o pannę Marję?

— O pannę Marję? z podziwieniem odezwiała się Ciocia — Marja jest zbyt młoda —

Doliwowa zmilkła i ucięła, Scholastyka także —

— Ani chybi, ten upior (starsza pewnie odemnie, chcę się wprzód wydać sama) Teodor jęj mężem! To być nie może! —

A! a! Ale nie tracąc przytomności dodała szybko — zawsze państwo łaskawie mi obie-
cujecie przyjmować mego syna —

— Jak wprzód tak teraz —

— Trzeba więc poszukać narzeczonego dla starój! Nieszczęściem w oko jęj wpadł Teodor, mówiła sobie odjeżdżając — Bieda! Gotowa się była rozkochać — Proszę! ktoby się był spodziewał. Nowy sęk.

— Wiesz co? wiesz co? zakrzyczała do męża w ganku wysiadłszy z powozu — wszak to podobno (po cichu) stara paunica rozszalała się za Teodorem —

— Co mówisz!!!

— Ale tak! tak! dała mi do zrozumienia i

to, że nie pójdzie Marja wprzód za męża, aż się ona wyda —

— Ot! proszę! W starym piecu djabeł pali —

— Istotnie! klęska! nastanie! Co tu poznać! Trzeba ferytować Kulikowicza czy kogo?

— Jak uważasz Maszerciu, jak uważasz!

— I powiem ci że się trochę zawiodłam, bo myślałam! Taka rozsądna osoba — w moim wieku — nie pójdzie za męża, spadek na Marję. —

— Przyznam się duszce, że i ja na to rachowałam. Tracim górą półtora miliona.

— Tracim, oczywiście! rzekł stary z westchnieniem kiwając głową, i drapiąc uciekającą fajkę. Ale mówisz że stara kocha się w Teodorze?

— Zdaje się! To fatalnie —

— Hm! gdyby tak młody chłopiec!

— Już to powiem ci, po Teodorze, każdy się źle wyda.

— A! bez kwestij — ale nie powinna być wymagająca, pierwsza partja w sąsiedztwie nasz syn!

Oboje zamyślili się bardzo.

— Już jak jest to jest, niech Teodor bywa i stara się podobać Marij. Resztę biore na siebie — choćby wykraść, jeśli tego będzie potrzeba! — Ale Teodor nie bierze się dość gorąco, nie bywa dosyć często — A ten Seweryn! Ja się go beję —

— Jakże go możesz porównywać!

— Zmiłuj się waćpan, są osoby tak złego gustu!

— I to prawda.

Oostatnie wyrazy z wzruszeniem ramion i takim wyrzeczone były politowaniem, że nie wiem jak się patrząc na siebie nie śmieli. —

Wieczorem nadszedł Kulikowicz i Pokotyłowie.

Rozmowa byłapelna umiarkowania, nie wydała się z pierwszym krokiem swym pani Doliwowa, wiedziała że odkrycie to byłoby po-

budziło wszystkich do naśladowania. Dawała tylko do zrozumienia Kulikowiczowi, i Porucznikowi, że panna Scholastyka pragnie i myśli wyniść za mąż. Oba przyjęli tę wiadomość z uśmiechem zadowolenia.

Kulikowicz bowiem także od niejakiego czasu zwrócił oczy na Ciocię, siostrzenica wydawała mu się za młodą, zbyt wiele przewidywał trudności. Wieczór zszedł na wiście przy którym naturalnie o niczem nie było mowy tylko o Górowie, i trochę o Haslingu, przyciśnionym już przez wierzyciela i w wielkim kłopotcie.

— Gdzie pan będziesz jutro? spytał obojętnie Porucznik Kulikowicza —

— Ja? zapewne do miasteczka pojedę! a pan?

— Ja w domu mam do czynienia.

— A pan Teodor?

— Wybieram się na polowanie.

Nikt prawdy nie mówił — wszyscy wybier-

rali się do Górowa; jakoż Kulikowicz ukończywszy wiścika, nocą jeszcze pojechał i sta-
wił się nazajutrz rano.

Ciocia przyjęła go bardzo grzecznie, ale wi-
dząc że i on myśli się oświadczać, tak zrę-
cznie zagadywała, iż mu nie dała nic powie-
dzieć. Około południa, z wielkiem podziwie-
niem gościa, zjawił się porucznik.

Po pierwszém przywitaniu — spojrzeli na
siebie współzawodnicy —

— Pan miał być w miasteczku?

— Pan miał być w domu?

— Inaczej się złożyło —

Spoglądając na siebie z ukosa, chodzili —

Nadjechał Teodor z nowemi walcami które
sprowadził umyślnie z Warszawy dla Marij.

— A i pan tu!

— Jak widzicie —

Wszyscy wzajemnie wyprawiali się wzro-
kiem, mową, bo zawadzali sobie — wszyscy
siedzieli do późna. Marja na chwilę tylko
weszła do salonu, nie przyjęła nut, które Teo-

dor rzucił na fortepian nieukontentowany i wkrótce wyszła. Każdy chciał coś stanowczego tego dnia powiedzieć, nikt się na to zebrać niepotrafił. Odjechali rozjątrzeni.

— Co za natręctwo! mówił wróciwszy Dołowa, chwili nie ma, żeby się nienaciskali — telnuć nie dadzą — pełno ich ciągle —

— Śmieszni ludzie! odparła Jejmuś — prawdziwie za nimi nie człowiek począć nie może. Jakże przyjęła cię Marja?

— Jak zawsze — dobrze —

— A nuty?

— Ceromonjowała się —

— No? ale zostawiłeś?

— Zostawiłem.

— Jednak to prezent co dwadzieścia kilka złotych kosztuje — a tutaj ich nie dostać za żadne pieniądze!

Kilka tygodni upłynęły bez żadnej ważnej zmiany i nowin —

Wszyscy się niecierpliwić zaczęli, każdy

był dobrze przyjmowany, a nikt krokiem dalej nad grzeczność postąpić nie potrafił.

— Jedni składali na drugich i coraz ukośniej poglądali na siebie.

Teodor zauważał nareszcie, że Seweryn lepiej od niego uważany, częściej bywał i zdawał się wyścigać wszystkich.

Jednego wieczora przebąknął o tém przed matką.

Pani Doliwowa namyśliła się.

— A no! rzekła, to nie ma sposobu — potrzeba go odstręczyć.

— Jak? spytał Teodor.

— A jakże — pokłócić się, wyzwąć —

— Wyzwać! kręcąc wąsy, rzekł Doliwa, a nuż co z tego wyniknie?

— Co może wynikać?

— Seweryn nie zleknie się —

— No — to się będziecie bić — trzeba aby jeden ustąpił, bo oba sobie wadzicie — Czy wiadomo jak u nas pojedynki się odbywa-

ją? kilka butelek szampańskiego wszystko skończy —

— Ale nie z Sewerynem.

— Waćpan się widzę boisz; kwaśno rzekła matka.

— A jeżeli tak! zawołał Doliwa — zobaczymy, jutro go wyzwę.

— Masz Waćpan do wyboru, albo się z nim rozprawić, albo udać się do panny Scholastyki, która ma skłonność dla niego.

— Mama żartuje.

— Serjo mówię, rób sobie co chcesz, mnie już od tego wszystkiego głowa boli — Nie mięszam się więcej. Masz swój rozum, rządz się nim.

Teodor milcząc uszedł, nazajutrz pojechał do Seweryna.

Zastał go w Tarnoborze.

Wszystko tu dziwiło przybysza. Dom Seweryna, niepodobny był żadnemu ze znanych sąsiedzkich dworów. Pierwszy to raz Teodor go odwiedzał i co krok się dziwił.

Porządek, czystość rzadkie u kawalera panowały wszędzie — Wielki salon ubrany był skromnie, nie bijący w oczy, ale bardzo przyzwoicie: piękny fortepian wiedeński zajmował w nim pierwsze miejsce. Stosy nót zalegały stoliczek przy nim stojący.

Przez drzwi otwarte widać było, małą biblioteczkę, kilka wzorów machin na stoliku i apteczkę w kąciu domową. Nigdzie tego nieładu, rozproszonych sprzętów, sukien: bez których, myślał Teodor, kawalerskie mieszkanie obejść się nie może. Wszędzie widać było porządek, spokojną rozagę, przewodniczące ułożeniu, umieszczeniu najmniejszej rzeczy. — Kilka świeżych książek otwarte leżały na stole salonu, Doliwa który weale inaczéj spodziewał się zastać dom dzierżawcy, nieprzyjemnego doświadczył wrażenia; mimowolnie był zmieszany, czuł wyższość tego człowieka. Z wyrachowaną grzecznością zbliżył się do gościa Seweryn. Doliwa zimno ją przyjął, rozsiadł się na kanapie i zapalił cygaro.

Po chwilce.

— Pozwoli pan pomówić z sobą słów kilka.

— Jestem gotów na rozkazy, cóż takiego?

Teodor poprawił cygaro, namyślił się.

— Nie tajno panu zapewne, że ja —

Że bywam w Górowie.

— Wiem o tém — zimno odrzekł Seweryn.

— I nie bez projektu —

— O tém nie wiedziałem —

— Powiem mu więc otwarcie, że się staram o Pannę Marję.

— Doprawdy? spytał Seweryn.

— Właśnie w tym celu przybyłem, abym się porozumiał z nim, gdyż podobno obadwa sobie szkodziemy —

— Ja tego bynajmniej nie uznaję.

— Jednakże, należałoby porozumieć się czy pan ma jakie intencye względem panny Maryi?

— To tylko mu powiem, kochany panie Teodorze, żem bywał w tym domu wprzód niż ktokolwiek z sąsiedztwa, że go szacuję, i że

niewidzę dla czego by mnie kto obcy o intencye miał pytać?

— Wszelako — pan uzna — że ja — pan sam widzi —

— Ja bo nic nie widzę, prócz że pan się chce starać, a ja mu nie przeszkadzam.

— Pan mi przyrzeka nie przeszkadzać?

— Jak pan to rozumie?

— Nie bywać —

— O! wcale nie — ! Wszakże oba się w salonie Górowskim pomieścim, a kto z nas będzie szczęśliwszy — dodał z uśmiechem: jakimże byś prawem pan mógł mi odwiedzin zaprzeczać?

— Zaprzeczać! nie! ale — Teodor się poplątał, potem dodał.

— W takich razach ludzie honorowi —

— Cóż robią ludzie honorowi —

— Roztrzygają orężem —

— Nie wiem co mamy roztrzygać — rzekł Seweryn, ale jeśli mu się podoba, dla czego — byśmy nie roztrzygli? I owszem.

— Pan się zgadzasz?

— Nigdy podobnej satysfakcyi nie odmawiał.

— Pokonany przestanie bywać w tym domu! —

— Nie panie Teodorze — pokonany będzie bywał jak i przedtém, ja nikomu téj przyjemności ujmować nie chcę — ani sam jęj odstąpić —

— Więc do czegoż pojedynek?

— Dla pańskiej satysfakcyi, rzekł z uśmiechem Seweryn.

Teodor uczuł, że rola jaką grał, była doskonale śmieszna; splunął, pokręcił głową.

— Pan się więc zgadza?

— Na wszystko.

— Pańskim towarzyszem kto?

— Czekaj pan! Hrabięgo poproszę, najbliższy sąsiad, nie odmówi mi. — Mam wybór broni ale zostawiam go panu —

— Nie żądam, wszelako na pistolety nie mogę.

— Więc na pałasze —

— O miejsce i czas umówimy się później.

— Bardzo dobrze! Teraz gdy wszystko umówiono, racz mi wytłómaczyć o co chodzi?

— Mówilem panu o Marją.

— Szanowny sąsiedzie, rozmyśl się, czy to ci na co pomoże?

— Pan chcesz uniknąć pojedynku?

— Nie—za to same słówko musim się bić kochany panie, ale mi wytłómaczysz co zyszczesz?

— Pozbędę się go —

— Chyba zabijesz! śmiejąc się rzekł Seweryn.

— Być może!

— W takim razie musisz z kraju uciekać—
Teodor zamyślił się chwilę.

— Jakkolwiek będzie — ja się biję —

— O! i ja niezawodnie — dodał Seweryn —
nigdy nie odmówił podobnej zabawki. Pańskim towarzyszem?

— Porucznik Pokotyło.

— Czy nie mógłby zjechać do Śliwina dla pomówienia o miejscu i czasie.

— Poproszę go. Żegnam pana —

— Żegnam —

Tak się rozstali, Teodor oburzony i gniewny, Seweryn uśmiechnięty i wesół. Doliwa poleciał do domu, a po drodze powiedział wszystkim że się bije z Sewerynem. Porucznik podjął się służyć za sekundanta i pojechać do Śliwina.

— No, rzekł stojąc wprogu przed matką Teodor — Nie powiesz Mamo, że się boję — wyzwałem — bijemy się — w pałasze.

— Serjo? zawołała matka

— Jezu! doprawdy! krzyknął ojciec wyskakując z pod pieca —

— Nieochybnie.

— Wyzwałeś go?

— Wyzwałem — wszystko umówione —

Mówił Teodor z pozorną odwagą i gniewem, ale znawca byłby łatwo odkrył, jak pod spodem strach nim miotał.

Tu zaczął opowiadać rozmowę, zdobiąc ją w kwiatki swego wynalazku.

— No — to teraz, rzekł wysłuchawszy ojciec, czas myśleć o zgodzie —

— O jakiej zgodzie? spytał Teodor.

— A jużcić żeby was pojednano — Jdę prosić porucznika —

Teodor udał, że nie słyszy, ojciec narzucił frak i pobiegł.

Zastał Pokotyłę z fajeczką w gębie wywlekającego z kąta stare pałasze.

— Poruczniku! prawda to?

— No! a cóż?

— Biją się?

— Myślisz że nie! Biją się!

— Ale tu cała waga na fundamentach — wiesz.

— Znamy panie obowiązek! służyło się wojskowo —

— A więc pogodzić ich?

— Jakto pogodzić?

— Jużcić —

— Jużciż Teodora wyzwiał, ja jestem jego towarzyszem, wiedział co robił — Niech się bije —

— Poruczniku gubisz nas! Ty chcesz żeby się bił.

— Kiedy wyzwiał.

— Kiedy wyzwiał! śmieszny człowiek! A toż się codzień wyzywa, a nie bije —

Ale ja na to nie dozwolę. Już dosyć się ludzie śmieli z pojedynków, czas pokazać że to nie rzecz śmiechu. Teodor chciał się bić, niech się bije, a jak mu nosa pokireszują, tem lepij —

— A jeżeli tak, zawołał ojciec — ja pana nie chcę za sekundanta —

— Idź że spać — Ja wiem co mam zrobić, konie zaprzężone jadę do Śliwina do Hrabiego. —

— Poruczniku! poruczniku! co pan myślisz! poczekaj, pomyśl — po co tu rozlew krwi — ?

— Daj mi pokój — Tchórz jesteś!

— Dziwno! o syna —

— Nie zabijec go! Na pałasze bić się będą, rany mogą być ciężkie, ale śmierć bardzo rzadka, chyba by w głowę — albo — albo —

— Poruczniku! pogodzisz ich! na rany Boskie cię proszę —

— Ale dajże mi pokój! Wincenty! konie!

I Porucznik do Śliwina odjechał.

Stary Doliwa, we łzach wrócił do domu; Jejmość ze wzgardą spojrzała na niego.

— Wystaw sobie Maszerciu — porucznik powiada że zgoda niepodobna —

— No to się będą bić — lakonicznie odpowiedziała Matka, a za nią syn.

— I owszem tego żądałem.

Zaszedł się Doliwa z płaczu i ręce załamał. —

— Powszystkiem! rzekł tragicznie

Nazajutrz nie zwlekając oznaczono termin, a miejsce w lasku Śliwińskim, na pół drogi między Tarnoborem a Glinkami. W pośrodku gaiku brzozowego, była łączka zielona, rów-

na, gładka; wyborne miejsce, któredy żaden natręt nie mógł zajrzeć. Hrabia z porucznikiem zgodzili się na tę łączkę.

Seweryn wieczorem w najlepszym humorze pojechał do Górowa i nie mówiąc o jutrze, późno powrócił do domu,

Okolo południa Seweryn i Hrabia byli w lasku; ale nie prędko doczekali się przeciwnika, którego dość blady, wylekniony, nadrabiając przecie odwagę, z ojcem we łzach i porucznikiem nadętym swoją ważnością nadciągnął.

Uklonili się — głębokie milczenie.

Doliwa Stary, jedyną pokładający nadzieję w Hrabi pośpieszył ku niemu.

Grafie, łaskawco! rzekł — gdyby ich pogodzić. Na Boga zaklinam!

— Sprobujemy — lakonicznie rzekł Hrabia, i posunął się ku porucznikowi.

— Naszym obowiązkiem, odezwał się, jest starać się pogodzić, aby uniknąć ostateczności —

— Tak! uniknąć ostateczności! powtórzył

łamiąc ręce ojciec — wszelka ostateczność —
 prawa krajowe Bóg sam — wszelka ostatecz-
 ność! mój synu! Dobrze graf mówi, wszelka
 ostateczność — uściskajcie się — Wina!

— Jestem wyzwany, rzekł Seweryn — nie
 mogę powiedzieć bo nie wiem dotąd, o co sy-
 nowi pańskiemu chodzi; ale bić się będę ko-
 niecznie.

— Panie Dobrodzieju! Mój syn — mój syn
 ale on nie winien —

— Teodorze! krzyknął ojciec — podaj rę-
 kę i przeproś!

— Musiemy się bić.

— Ja? ja? nigdy — Bijem się —

Seweryn śmiał się w duchu, Hrabia brał za
 boki.

— A! gdyby codzień taki pojedynek! wołał.

Zaczęto plac oznaczać, widząc że nie za-
 klęcia i namowy nie pomogą, usunął się i po-
 czął odwróciwszy tyłem, modlić biedaczysko
 pod drzewem. Teodor blady był jak chusta.
 Zaczęto się rozbierać; przeciwnicy wzięli broń
 do ręki.

Tu już każdy widział, że Seweryn panem siebie będąc, silny, obojętny, musi wygrać mając do czynienia z przeciwnikiem pomieszanym i drżącym.

Złożyli się —

Na pierwszy szcęk pałaszy — Stary Doliwa zakrył oczy, zatulił uszy, płakał rzewnie.

— Dosyć, dosyć, wołał.

Seweryn tak dalece był wyższym od Teodora, że za trzeciem złożeniem się, z największą łatwością, płątnął go po uchu — Natychmiast zawołano — dosyć. Teodor upadł na trawę przestraszony.

— Czy dość panu? spytał Seweryn podając mu rękę —

— Jestem — nie domówił —

— Czy bardzo jestem ranny?

— Dzieciństwo! zawołał Hrabia — jedno ucho! i to nie całe stracisz —

W tém ojciec nadbiegł, a widząc okrwawionego padł na trawę przy nim.

— Teodosiu, kochanku! co ci! co ci! ach! wody! na Boga! syn mój!

— Uspokój się pan, nie mu nie będzie — ranny w głowę — ale część tylko ucha straci!

— Część ucha! ucha część — Wszelka ostateczność — Wody! bandażów — cyrulika.

— Ot, jedźmy lepiej na śniadanie — rzekł Hrabia — Rana ta dzieciństwo!

— Dobrze panu mówić! przerwał ojciec, dobrze panu mówić — mój syn! my jedziemy do domu!

— Jak sobie chcecie!

Tak się skończyła ta walka pocieszna, na ranie lekkiej, łzach ojca, gniewie matki, śmiechu Hrabiego —

Seweryn obojętnie pojechał wieczorem do Górowa —

Na jakiś czas wolni byli tam od odwiedzin Doliwy.

Wedle zwyczaju powszechnego, Seweryn pojechał w tydzień o zdrowiu Teodora się dowiedzieć, ale matka zobaczywszy przez okno

że jedzie, kazała wszystkie drzwi pozamykać i ludziom się pochować.

Trochę podleczony, zakrywszy włosami ucho jeszcze nabrzkłe, Teodor pośpieszył do Górora. Pamiętał o tém że Seweryn nie bronił mu wcale tego. Sądził że pojedynek jego, o którym mówiono w sąsiedztwie jak o czynie heroicznym, powinien mu być serce nieczulój Marij pozyskać? Niestety! zimno go przyjęto i słówka o nim nie powiedziano.

Nie stracił przecie nadziei?

Nazajutrz matka miała jechać oświadczyć się formalnie, gdy nadszedł list panny Scholastyki, zapraszający cały dom państwa Doliwów, na obiad i wieczór na wtorek. —

List ten wzruszył do wnętrzości wszystkich. Co miał znaczyć?

Na środku pokoju, stanęła matka, ojciec, syn i czytali i rozważali i komentowali,

— Delikatnie dają do zrozumienia, że nas nad innych uważają, że czas abyśmy przystąpili do deklaracji —

— Maszercia, tak myśli?
 — Może być! rzekł Teodor.
 — Wiedzą państwo! wpadając zawołał Kulikowicz, we Wtorek bał w Górowie.

— Jako bał?

— Bał! jestem proszony!

— A! to i pan! rzucając list na stolik rzekła Jejmość.

— A i ja! i wszyscy generalnie — całe sąsiedztwo.

— Ale z jakiejże okazji?

— Do kalendarza!

— Imieniny Krajczego!

— Nieochybnie.

— I muzyka będzie z Pińska! dodał Kulikowicz.

Matka szepnęła synowi.

— Wyborna okazja, trzeba się oświadczyć koniecznie.

KONIEC KONCÓW.

THE
HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON
FROM THE FIRST SETTLEMENT
TO THE PRESENT TIME
BY
JOHN B. BOWEN
OF THE
CITY OF BOSTON
PUBLISHED BY
JOHN B. BOWEN
1845

BOSTON

THE
HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON
FROM THE FIRST SETTLEMENT
TO THE PRESENT TIME
BY
JOHN B. BOWEN
OF THE
CITY OF BOSTON
PUBLISHED BY
JOHN B. BOWEN
1845

KONIEC KOŃCOW.

Domyślcie się pewnie, że imieniny Krajczego, miały być razem zaręczynami Seweryna i Maryi.

W sąsiedztwie mówiono tylko o imieninach, więcj o niczem niewiedziano.

Mężczyzni opatrywali granatowe fraki, gdyż wedle zwyczaju na parafij wielce uważanego, na imieniny w czarnym się nie jeździ nigdy.

Inne nawet części ubioru najczęściej są kolorowe. Kobiety sposobiły się w suknie i stroiki, Pani Doliwowa domorosły przymierzała zawój, którego z piórem strusiem i spinką (niegdyś sprzączką trzewika) miał być być wcale do twarzy.

Wielkie i ważne rozprawy w garderobach toczyły się o falbany sukien i garniowania kołnierzyków.

Pan Fabian, choć słyszał że muzykę sprowadzić miano, na wszelki wypadek swoich domowych wirtuozów do Kadryla usposabiał. Z ciężkością mu to przychodziło, ale miał niepłonne nadzieje, że potrafią zagrać, nie mylając się częściej nad razy trzy w jednym kawalku. Teodor przystroić się miał w świeży frak, bardzo nowego kroju, którego początek był spodziewany co chwila. Ważnym wypadkiem miały być jego półbóciki werniksovane; którymi spodziewał się zaćmić wszystkie szuwaksy sąsiedztwa, z cukrem i bez cukru robione.

Szpilka jego fantazji, prawdziwa brylantowa, potężna; była ofiarą matki.

U Haslingów pomimo grożącej tradycyi cały dom na stopie wojennej — krawiec robił w bawialnym pokoju, organdynowe suknie dla panien.

Pomocnik jego przyszywał strzemiączka do pewnej części stroju męskiego, która wedle nowego zwyczaju, obejść się bez nich nie może, *sub paena paraflanszczynae*. Dalej praly się kołnierzyki, chustki haftowane na końcach i białe perkalowe rękawiczki. —

Niegodziło się zajeżdżać bryczką — strojono więc koczobryk, którego widocznie chorowity i chroniczną jakąś słabością dotknięty, na bok się jeden przed wozownią stojąc pochyłał. Kował przedsiębrał ortopedyczną kurację. Służący latał fartuch i ociągał firanki, woznica tranem odświeżał uprzęż pogniłą.

Liberja Haslingów także się wyświeżała zwłaszcza na łokciach i w używalniejszych

miejscach. Kołnierze manszestrowe, ów luksus niesłychane, z powodu wielkiego zasmolenia dawniejszych, użyć się musiały. Guziki czyszczono cegłą i kredą, nie bez jasnego skutku. Niedostatek ich zastępowały odprute w miejscach zbytecznych.

Słowem, ruch i zajęcie wszędzie.

Porucznik Pokotyło, znowu kuł sztelwagę złamaną, łątał uprząż i wyprawił kocz do stawu dla obmycia od stóp do głów. Osobiście sam pracował nad złoceniem toalety własnej i ludzi.

Pan Fabjan targował się z matką, o żabot, któren chciał mieć koniecznie i mankiety z perkal-batystu.

U Doliwów trzepano migdałową liberją, myto kocz Dangłowski, a sam Jegomość pod piecem siedząc rozmyślał, jak sobie począć, żeby można fajkę palić w Górowie, nie rzucając kompanii? Było to zagadnienie ważne dla niego.

Wszędzie przewidywano dzień stanowczy. Nawet Kulikowicz zebrał się na nowy garnitur granatowy, który wprowadzie ręce mu walał, ale był świeżuteńki. Biała chustka, kamizelka, kołnierzyk silnie krochmalny podryznający uszy, dewizki błyszczące (w wodce z mydłem odmyte) zdobić go miały.

Żydzi okoliczni błogosławili myśl téj zabawy, która im robotę dała — furmani ją przeklinali z duszy całej, panowie roili wypadki ważne.

W Górowie było spokojnie.

Dom powoli stanął był na téj stopie zamożności, dostatku; która nie wymaga nadzwyczajnych przygotowań, na każdy zjazd większy — kilku kucharzy wcześniej sprowadzonych pracowali w kuchni cicho — zresztą nigdzie ruchu niezwykłego widać nie było.

Nadszedł oczekiwany Wtorek.

Czemuż nie mogę pisać wam, ile od rana łajań, przekleństw, niespokojnych wyrzekań słyszeć się dały. Tam koń zakulał,

ówdzie w powozie się na wsiadaniu coś zepsuło, suknie były nie pokończone, krawcy nie gotowi jeszcze. Godziny biegły szalone, opętane, wściekłe, że ich przytrzymać nikt nie potrafił. Skarżono się powszechnie na utrapiony polot czasu, któren zdawał się na ten ranek nowe przyczepiać skrzydła.

Nareszcie około pierwszej, drugiej, powozy ruszać się poczęły od ganków —

— Stój, stój — chustka od nosa —

— Flakonik mój.

— Druga para trzewików —

— Niech Florjan konia wyprzeże i leci za zapomnianem pudełkiem!

Samo usadowianie się w powozach, z sukniemi, które świeżemi być chciały, niesłychanych trudności stało się powodem.

Panny Hasling nie umiały całkiem pomieścić się z braćmi i ojcem. Musiano dla tych zaprządz wózek — Ojciec ruszał ramionami wyrzekając na zbyteczną grubość swych córek i niedotykalność sukni. Pani Doliwowa

wypechnęła męża i syna na przód kocz, rozsiedając się swobodnie w głębi, z podniesioną suknią —

Wszystkie białe i żółte rękawiczki, jechały w kieszeniach, w woreczkach aż do grobli Górowskiej. Tu dopiero poczęto stawać, dla wzięcia trzewików które cisnąć miały, rękawiczek, dla uzbrojenia się w chustki od nosa zachowane na sam przyjazd.

— Poczekajcie, niech wyminiemy Doliwów, to staniemy wzięść chusteczki — mówiły pan-ny Hasling — i poprawim włosy —

— Poczekajcie niech się Haslingi zostaną, to zastanowim się — poprawić.

Skończyło się na tém, że wszyscy stanęli razem i szybko dopełnili strojów i przygotowań. Potoczyły się znowu powozy, przy gęstych z bicia poklaskach.

Furman Doliwów, tak celował temi wystrzałami, że od grobli do domu, dwadzieścia i pięć razy, dał dowód swój zręczności.

Inni średnią proporcją po piętnaście razy

palnęli. Wszystkie wróble z wierzb na grobli uciekły.

W pokoju bawialnym siedział już stary nasz Krajczy ogolony i podgolony świeżuchno, w żupanie karmazynowym atlasowym, kuntuszu ciemnym aksamitnym, pasie litym, przy karabelli złocistej — Scholastyka w sukni kanoniczki (pierwszy raz pokazała się w tym stroju, do którego od niedawna miała prawo); Marja we włosach i białej sukience z niebieskimi wstążkami. —

Pokój bawialny pełen był kwiatów i cały dywanami wysłany, przyłączono do niego Krajczego sypialnię, na ten dzień wypróżnioną, i drzwi wybite na ogródek mającą. Seweryn czarno ubrany stał przy Marij — Ksiądz Probosz rozmawiał z Krajczym.

Sąsiedztwo z kolei zajeżdżać, wysiadać i napępiać pokoje poczynąło.

Suknia panny Scholastyki pierwsza zwróciła uwagę.

— Co to za strój?

— Kanoniczek.

— Cóż to kanoniczka?

— Rodzaj Kanonika rodzaju żeńskiego?

— I ta nie idzie za mąż? spytała Doliwo-
wa niespokojnie —

— Oczewiście że nie.

— Przecież ma rozum!

— Co to za strój? pytano ówdzie —

Nie wiem, to przez arystokracją go wło-
żyła pewnie.

— Patrzajcie!

— Co to za strój? pytano dalej jeszcze.

— Od fantazij.

Następnie zwrócono uwagę na czarny frak
Seweryna. W naszych wiejskich towarzy-
stwach, czarny frak bardzo zwraca oczy.

— Na imieniny w czarnym fraku? patrz
Waćpan.

— Co to pogrzeb?

— Nic nie rozumie świata.

— Gdyby panie tak do mnie przyjechał,
tobym mu dał *ad intende*.

— W mieście to uchodzi.

— Ale u nas nie — Niech sobie uchodzi, gdzie chce, a u nas nie jest we zwyczaju.

— Chodząc po salonie, zaczęto później przypatrywać się wszystkiemu i po trochu o śmierci z cicha.

— Chcą nam zaimponować temi dywanami

— Masz Waćpan racya, a kiedy piasecznik nie ma, pluje na ich dywany.

I — splunął.

— Dla czego ludzie czarno poubierani, bez liberyi?

— I to panie inpozycya! — *san/ason*.

— Co to znaczy te wisiadło we drzwiach?

— A to nie widziałeś u Doliwów, to się nazywa *portjera*!

— A po licha?

— Od wiatru!

— Wiele to na nie łokci wyszło!

— I stoliki pookrywane.

— Muszą być licha warte.

— To moda.

— A jakie *serwety* wspaniałe!

— Daj go katu, widać że mają za co sobie pozwolić.

Przechadzano się tak rewidując co było w pokoju. Półka zastawiona fraszkami uległa zupełnej superrewizyi; wszyscy brali w ręce porcellanowe figurki, śmieli się do nich, macali, podawali sobie, aż stłukli chińczyka jednego i dopiero poodstępowali.

Gdy się to dzieje — Krajczy powstał

Zrobiło się jakieś zamięszanie.

— Co to jest?

— Co to jest?

— Nie wiem.

— Patrz Waćpan, Panna Marja ukłękła.

— A! Seweryn!

— Co to komedja!

— Co to?

— To zaręczyny.

— Czyje! Jakto! Być nie może!

Sąsiedztwo osłupiało! Pani Doliwowa osłabła i pochyliła się na poręcz kanapy, Teodor

padł w krzesło, inni rozmaitemi sposoby okazali silne uczucie, którem byli przejęci.

Ksiądz błogosławił i mieniał obrączki, nikt pojąć tego nie mógł.

— Widzisz Waćpan! to zdrada! jak *honor* kocham, miałem nadzieję.

— Co Waćpan mówisz — byłem tak przyjmowany, że mogę powiedzieć.

— Rozumie z was kto, co to jest?

— A to panie impertynencya dla nas, to finfa!

— Masz racyą, kochany sąsiedzie, finfa tobie!

— Nie, tobie —

— Obudwom jesli chcesz —

Teodor na skinienie matki, przyszedł ku niej.

— Mężtwo — kochanku, szepnęła mu niewyjeżdżaj, wszyscy by się śmieli — Scholastyka twoja, a i ona ma tyle co Marja — zwróć się do niej Tyś Maryi nigdy nie kochał.

— Ale ona w téj sukni.

— E! to nie: kanoniczki idą za mąż byle się trafiło. — Tylko żwawo, wiem że jéj nie jesteś obojętny — Oświadczyć się dziś jeszcze — blisko dwóch milionów.

Fabjan Pokotyło, doznawszy nieco wzruszenia pocieszył się tryumfem, któren mu jego muzyka w kadrylu zapewnić miała. Porucznik trochę suknią kanoniczki zmieszany, dał sobie wmówić, że kanoniczki idą za mąż.

Hasling przysiadł się do panny Scholastyki, która mu szepnęła.

— Bądź pan dobrej myśli, zapłacę za pana Kulikowiczowi dług, ale daj mi pokój ze staraniem, bo ja ani za niego ani za nikogo za mąż iść nie myślę. Stary uklonił się i odszedł.

Doliwa stary chodził zasepiony i w rozpacz, który uśmiechem pokrywał.

— Nie pojmuje — powtarzał, nie rozumiem — Seweryn otrzymał pierwszeństwo! Uważasz to pan Dobrodziej? przed Teodorem!

— Widzę.

— Jak pan to uważa? szelmostwo panie! Intryga! podłość! Taki świat teraz! Taki — (A gdzieby tu można fajkę zapalić?)

— Nie wiem.

— Teodor miał ucho obcięte! Miał pewne prawa do jęj ręki. Tak się panie z uczciwych ludzi nie żartuje! Jak pan to uważa?

— Nie umiem sobie wytłomaczyć.

— Ani ja! Teodor zwyciężony! Trzeba go znać, trzeba ich znać obu panie — aby ocenić to jest dowód płaskości — niekzemności — Teodor człowiek swiatowy, pełen talentów — Pan słyszał jak gra? widział pan jak tańczy? Dość zresztą spojrzeć na niego! — Nie umiem tego nazwać!

— Ani ja.

— Bo niechodź nam o te tam pieniądze! Mamy się dobrze i bez tego, dzięki Bogu! (nie wie pan, gdzieby tu można fajeczkę zapalić?)

— Nie wiem, może w ganku.

Do obiadu trwały szepty i rozmowy.

W sali na przeciwnéj stronie domu nakryty był stół. Zaręczeni siedzieli obok siebie, Teodor usadowił się przy Cioci, popchnięty przez matkę; z mocnem postanowieniem — oświadczenia się z desperacyi.

Ale Ciocia potrafiła mu usta zamknąć; nie-szczęsnym młodzian wstał jak usiadł, i gorzej jeszcze, bo niespokojny, nie rad z siebie.

Seweryn wyznaczony podgospodarzem, wstał pocałowawszy Marję w rękę i od pół obiadu począł poić sąsiadów. Pierwszy Doliwa, wierny herbowi swemu, dolewając do kieliszka u pieczystego zapłakał nad losem syna Teodora. Szampańskie bijąc mu do nosa, jeszcze rzewniejsze łzy wycisnęło. Proboszcz siedzący obok, musiał go pocieszać. Jejmość zdaleka tylko ramionami ruszała, dając napróżno znaki. —

— Wiwat zaręczeni! wypito z hałasem, bo

wszyscy byli podochoceni potężnie. Doliwa
lży swe wypił z kieliszka.

Po czarnej kawie, usunięto stoły i krzesła
i muzyka zagrała.

Nie będziemy wam opisywać wieczoru.

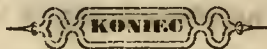
Rozjechali się goście późno w nocy — ale
niestety! — bez nadziei.

Próżno się było nią łudzić — Ciocia głośno
oświadczyła, że nigdy za mąż iść nie myśli.

Stary Doliwa siałając do kocz, zawołał.

— Dajcie mi fajkę! Teodor nasz upokorzo-
ny! świata koniec.

— Cicho byś był, przerwała Jejmość — to
są szerepetki — myślałam, że ludzie nam ró-
wni, ale przekonuję się, iż ich pieniądze,
nie uszlachciły wcale. A pospolite to! a gru-
bjańskie, a głupie — kontentam że to się tak
kończy. Teodor takięj partyi nie potrzebuje.



KRZYŻ

NA

ROZSTAJNYCH DROGACH.

Powieść.

1873

1873

1873

1873

KRZYŻ NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

I.

Widzieliście kiedy szlachecką osadę? O! sto razy zapewne! Ale miał że kto z was ciekawość, cierpliwość, przypatrzeć się jój zbliska? mocno o tém wątpię i że wątpię, dla tego właśnie muszę wam opisać szlacheckie sióło w Podlasiu, jakim ono było w XVI wieku, i jakim ono jest prawie dziś jeszcze. Na dolinie zielonój, między wygonem wybitym no-

gami koni, bydła, owieczek czarnych, rudych i białych, które próżno skubią niedójrzone rostki trawy; a polami w szachowanice pokrajaniem, zasianemi różnego rodzaju zbożem, lub niezasianemi wcale i zdawna odłogiem leżącemi; gdzie ujrzysz na sznurze wiedzione, pasące się po miedzach, chude bydłeta, wiedzione od chudszych jeszcze pastuszków: leży wieś, długo się rozciągająca. Poznasz od razu, że to nie wioska z chłopów złożona, ale szlachecka osada, po dworach nieco czystszych, z większemi oknami, z oparkaniem brzozowém zręcznie uplecioném, z kominy białemi. Do koła nich sady wiśniowe, gdzie niegdzie stara grusza, jabłoń krzywa, smukła osina lub olcha z bocianiem gniazdem, żuraw wysoki od studni; i na ulicy tu ludniój i inne stroje panów szlachty. Bo same panie w chustkach kolorowych na dni powszednie, w czepecach od niedzieli; sami lechmość w kapotach, w butach, w kurtkach. Ale jak nigdzie na świecie, tak i tu równości absolutnej i jednej

dla wszystkich nie ma reguły. Są tu postacie, prawie nędzniejsze od wieśniaczych, odarte, brudne, przejmujące obrazem nędzy, są obok zamożniejsi, albo patrzący na mieszczan, co się nazywa dostatnich, (choćby się na kondycją ich za nie mieniać, nie chcieli) albo nawet szlachtę po wsiach własnych z poddanemi siedzącą. Są i tu różne fortuny, zagroda zagrodzie nierówna. Jeden ma włókę, drugi siedzi na zagonie, on, ona, dzieci i wnuki. Jeden ma od święta kontusz z przedniego sukna, żupan z przodu jedwabny, drugi paraduje na wielkanoc w szaraczkowej startej kapocie. Jednego dworek patrzy na dwór co się zowie, drugiego podparty podobny ogrodniczój chałupie, do której wyprawują starców kiedy się na nic nie zdali, a pan nie ma co z niemi zrobić i chce się popisać z miłosierdziem swoim przed światem.

Ujrzysz też tutaj pole dobrze uprawne, w porę zasiane, obok nędznie podrapanej roli, w której skąpą ręką na stracenie ziarno

rzucano, cherlające i napróżno usiłujące się wydobyć z pod brył nierozbitych. Ujrzysz tłuste bydełko, obok chudego dobytku ubo-
giego, ostatniej jego nadziei, która nie prze-
zimuje zapewne. Ujrzysz rumiane lica, weso-
łe twarze, pstre rantuchy, kwieciste spodnice.
Obok smutnych, przed czasem wybladłych i
pomarszczonych, z oczyma wpadłemi i zga-
słém licem, obok szarych i brudnych łachma-
nów. Jak na świecie tak w szlacheckiej za-
grodzie. I tu dobrzy obok złych, szczęście
i spokój obok występku i nędzy, chata obok
dworu, głód obok nasycenia.

Ot spójrzcie no na ten dworek, co się od-
sunął od swój braci i poszedł ze wzgórką pa-
trzeć na zielone zagony, daleko się rozciąga-
jące, z pod stóp jego. Jaki schludny, jaki
czysty, jaki miły. Białe ściany, komin bia-
ły, zielone okiennice z sercami w pośrodku,
ganek na czterech słupkach białych, między
którymi ławy i balaski — przed domkiem wy-
sypano piaskiem żółtym — oparkaniony do

koła tak szczelnie, że się pewnie na ogrodzie warzywnym cudzy dobytek nie pożywi, wrota zamknięte. U wrót dwie lipy stare pochyliły się nad głowy gościa jak by go witały, jakby mu mówiły — Bóg zapłać żeś przyjechał! W posrodku podwórka dąb a na dębie, któż jeśli nie bocian, ten kochany ptak mile klekocze, co kiedy przyleci to z wiosną zieloną, a gdy odlatuje, to na pociechę pełne stodoły i gumna zostawia — pocziwy ptak, jak pies, domowy, przywykły do podwórka, do którego co rok powraca; bezpieczny, zaufany, że nie raz w południe chodzi sobie piechotą sam jeden po dziedzin-
cu, aż wesoło patrzeć. I któż by też śmiał tego opiekuna czém urazić, wszakci to on szczęście, zapewne od gromu i ognia przynosi.

Spójrzcie no na około: jakie to czyste stodołki, jak porządne chlewy i obory, jak wszystko pełne, jak tu znać porządek i dostatek! A za dworkiem co za ogródek! gdy się człek

drugiemu gdzie u dworu, nie spuszczać na ojcowski chleb, niechaj on będzie w zapasie na głodny czas, a póki młodzi, zróbcie też co sobie. Mówił to nie raz i mówił na próżno, aż nareszcie kiedyś z Basią swoją naradziwszy się (co się to ona nieboraczka napłakała) postanowił widząc, że same rady nic nie skutkują, rozkazem rodzicielskim zmusić ich do obrania zawodu. Ale zrazu nic nie powiedział, przygotował się tylko po cichu, i dwa razy chodził do okutój skrzynki, trzy razy do puzderka, pięć razy do stajenki; a na Najświętszą Panną Zielną, kiedy to wielki fest w kościółku tutejszym, sprosił sąsiady, zapowiadając synom, aby się od domu nieoddalali. A kto by się oddalił, kiedy odpust i dziewczęta strojne i osada cała brzmi weselem i skrzypki grać mają?

III.

Synowie pana Mikołaja, byli to sobie wesołe chłopaki; nikt się na nich nie poskarżył,

a kochali ich wszyscy. I czemu by kochać nie mieli? Starszy Domko (miał imię Dominik) prosty jak sosna, czarnowłosy, rumiany, wesół, przyjacielski, pierwszy był do pomocy każdemu, do wypitej i do wybitej, do zwady i do biesiady, kiedy przyjaciel to serdeczny, kiedy wróg, to mijajże go zdaleka! Cholewki lubił smalić, z flintą na kaczki i zające chodzić, śmiać się a hulać. Już to, do pracy nie zagnał go łatwo, ani ojciec swoją powagą, ani matka pani Barbara łagodnym słowem, ani Ksiądz dobrodziej częstym napominaniem o straconych latach młodych, co to się już nigdy potem nie wracają.

Domko myślał sobie zawsze; po kiego licha pracować, tatulo bogaty, chleb jest i będzie, czy ja szalony łba nadstawiać na kule, albo cudzej łaski prosić i dworsko służyć, kiedy sobie sam pan. I tak od dnia do dnia, rosło to, mężniało, aż dobry dąb się z niego zrobił; a o pracy żadnej nie pomyślał. Prawda że to tam w szlacheckiej osadzie, żytko

było wesołe, dziewczęta rumiane kieb maliny, a trzpioty by ptaszęta na wiosnę, a lipkie jak miód. Polowanie wyborne, kaczek mnóstwo; czy na przeloty, czy na młode, czy z gończymi, brałeś ich coś chciał; zajęcy przepaść, lisich jam na wszystkich wzgórkach jak nasiał, wilczysko nie raritas, kuropatwa chleb powszedni, o przepiórkach nie ma co i gadać — Pohulanki też i do niej towarzyszy nie brakło, raz wraz, ten ów zapraszał.

— A do mnie Domeciu, a do mnie!

I tak to jako i dzień płynął za dniem, że się Domko nie opatrzył jak mu lata biegły i wás się sypał rzęsisty, a on wciąż tylko chodził na wieczornice, łaził po błotach i późno w noc chichotał z sąsiadkami.

Z tém wszystkiem, choć próżniak hulaka, a poezciwe miał serce Domko — i szerokie, bo kto się tam w niem nie mieścił!

Drugi to wcale co innego — On także lubił próżnować i chodzić, liczyć liście po drzewach, ale nie szukał sobie towarzystwa, nie

zaglądał gdzie się śmieli i pili, chyba go gwałtem pociągniono — Ot, taką miał naturę, że lubił (dziwowisko!) żeby mu nikt nie przeszkadzał być smutnym. I taki był sobie zawsze smutny, że bywało choć się rozśmieję, to tylko ustami, w duszy śmiechu nie ma, nie ma w głosie. A postawą także różnił się od brata: bo był blady, blondyn, chirlawy, szczupły, a siły w nim ni za trzy grosze. Serce to najpoczeiwsze, co miał to dał, za słabszego się ujął, ubogiemu dopomógł, i choć już taki z natury, i nie łatwo i nieochotnie brał się także do pracy, a jak wiedział, że może komu swoją pracę ulżyć, to i popracował. Starszego dziewczęta i sąsiedzi lubili, bo od pogadanki, szklanki i biesiady jedyny — Śmieszek, figlarz; młodszego coś jakby szanowali, a dziewczęta nie śmiały go napadać swemi zalotami jak tamtego, tylko patrzyły zdaleka, uśmiechały się doń łagodnie i udawały bardzo smutne i zamyślane, kiedy je mijał. Bo to potrzeba wiedzieć, te dziewczęta umieją kiedy

• chcą, do każdego się zastosować, lichy wie, kto ich tego uczy, czy ojciec rozumek, czy matka natura? Jednego ułowi śmiechem, drugiego smutkiem; a Bogiem a prawdą przynajmniej w początku to i śmiech nie szczery i smutek nielepszy. No — ale to już taka ich natura, i było tak i będzie, nie ma co o tem szeroko gadać.

Łatwo to postrzedz z tego co się rzekło, jak bracia Domko i Florek byli sobie niepodobni; a co na to powiecie, kochali się po bratersku, szczerze, serdecznie; od dzieciństwa nie pokłócili się i razu, nie namarszczył się jeden na drugiego nawet. Domko zastawił się za brata, zrobił co tylko chciał. Florek nieraz najniewinniej broniąc starszego, guza odebrał; choć nie lubił tam bywać gdzie guzy latają i lada moment może który się na głowie, co go potem i za tydzień się nie pozbędiesz. Już jak Florek polowania nie lubił, a nudno było bratu samemu, to z nim w błoto laźł i gotów siedzieć cały dzień. A Domko

znowu co tak lubił gadać i śmiać się, to nie raz nie mając z kim, chciałby z bratem, a znając go, aż głowę zagryzał i szedł spać do szopy, choć mu się na sen nie zabierało, byle mu się nie naprzykrzać. I kochali się tak, że to była pociecha patrzeć, bo braci takich, nie wiele na świecie, i nienawiść braterska, od przyjaźni braterskiej pospolitsza.

Ale myśmy się zbłąkali. Nadszedł tedy fest, na Najświętszą Pannę Zielną.

Bracia nie wiedzieli, jednakoż spodziewając się gościa doma, postroili się w nowe suknie i poszli do kościoła. Po drodze Domko zaczepiał wszystkie dziewczęta, kłaniał się wszystkim starszym, mrugał na młodych; Florek szedł ponuro i choć nikomu nie chybił, a znać było, że znajomości byle z kim nie szukał. W kościele było duszno, ścisk niezmierny, ludu mnóstwo. Ołtarz ubrany paradnie, zieloności i kłosu pełno, a dusza się radowała od śpiewu, od huk organów, od natłoku nabożnych —

A jakiż to był widok, kiedy Dobrodzięż podniósł w górę Przenajświętszy Sakrament i wszyscy mostem się ustali, a on ich błogosławił. Co dopiero jak poszła processja! szlachta dobijała się o chorągwie, aż do przymówek przychodziło; krzyż najprzód dzwigał stary Pan Boczacki, baldachim nieśli dwaj Sosnowscy, Księża pod ręce prowadzili: obywatele przybyli z sąsiedztwa, Stolnik i Podczaszy. Najpiękniejsze cztery dziewczęta, strojne w wianki z kwiatów oltarz Najświętszej Panny, na ramionach niosły. A jak posypał lud za processją, to jeden jój koniec wracał do kościoła, a drugi jeszcze się z niej nie mógł wytoczyć. Kazanie miał młody Ksiądz Wikary; kiedy o naszej Matce Bożej mówił, to tak się serca kołatały w piersiach, jakby każdemu o rodzonej matce przypomniat. — Po nabożeństwie, co było lepszego, pociągnęło się do dworku pana Mikołaja. Ciasno w domku, ale i ganek i alkierz i sieni pomieścić gości dopomogły; a gdy człowiekowi wesoło, ktoby tam

uważał że mu ciasno? Dwaj bracia wróciwszy z kościoła, zastali już w domu wszystkich, bo Domko po drodze wstępował mało nie do każdego dworku, a Florek kędyś pociągnął się po zaogrodami nad rzeczką, żeby nie spotykać się z nikim i raz wraz nie czapkować. Już też w czas przybyli, bo ojciec coraz to o nich pytał i niespokojnie wyglądał; a jak ich ujrzal, pomusnął czupryny — Matka zobaczywszy ich, aż do alkierza się skryła, bo płakała — zwyczajnie matka.

Dali też do stołu, a stół był połową w sieni, połową w paradnej izbie. Synowie nie siedli, ojciec i matka także. Im bardziej zbliżał się obiad ku końcowi, tém bardziej widac było niespokojność na twarzy ojca, a łzy połyskiwały w oczach matki i zwracała je coraz częściej ku synom. Aż też uderzyła stanowcza godzina. Pan Mikołaj bardzo reżolutnie powstał, pogładził czupryny i odezwał się:

— Panowie a bracia! uczyniliście mi łaskę

niepospolitą, żeście moją chatę odwiedzili. Całym życiem wam za to wdzięczny będę; bo to dzień nie pospolity, nie powszedni dla tego domku, a najprzód dzień to osobliwszej mojej opiekunki, patronki Marij i dzień —

— Tu się wstrzymał — w którym postanowiłem, po długiej rozwadze synów moich w świat wyprawić z błogosławieństwem, aby poprobowali życia i nauczyli się sami zarobić na kawałek chleba. Nie dość moich i matki błogosławieństw na tę wielką życia drogę; dobrze gdy i przyjacielska ręka pobenedykuje, w podróż długą, a niebezpieczną może, ale potrzebną.

Tu skinął na synów. którzy zdumieni osłupieli, o niczym nie wiedząc.

— Moje dzieci, dodał łagodnie, chleba wam mojego nie żałuję, ale kto się sam za młodu na niego pracować nie nauczy, ceny jego nie zna, szanować darów Bożych nie umie i przywykwszy próżniactwu, stracić może i to, co po kimś tam weźmie. Wystarczyłoby wasz-

mościom do żywota ich, co Bóg dał z naszego zagonu, ale takie życie nikomu nie przystoi, a nam ubogiej szlachcie o niém i nie myśleć. Toć i nasi przodkowie czéms lepszem byli i żeśmy na zagon zeszli, kto to wie czy nie dla tego, że syn po ojcu brał co było, a nie przyrabiał; trzeba waszmościom w świat za fortuną gonić, bo owa ta sama nie przyjdzie, a siedzieć — niewysiedzicie nic —

Tu się obrócił ku oknu. Moje i matezyne błogosławieństwo weźcie z sobą i talar jaki się znalazł, a i koniki wam kazałem co najlepsze ze stada wybrać i przysposobić. Dość siedzieć za piecem i kapoty ojcowskiej się trzymać. Pożegnajcie matkę, i w imię Boże, a wracajcie poczciwi nadewszystko; kiedy można to i z niepróżnym trzosem. A skąła się kto z was, niech już lepiej nie wraca; dom to nie rodzicielski dla niego i serce nie ojcowskie. Wróci ubogi, to znajdzie kawałek chleba i ojciec z matką powiedzą tylko sobie —

Tak Bóg chciał, niech będzie Imie Jego na wieki błogosławione —

— Goście podochoceni dodali — Amen. Choć go nie bardzo temu życzeniu potrzeba było. Bracia stali jak wryci. Dotąd nie pojmowali jeszcze co się z niemi działo, tak nieprzygotowani byli do wyjazdu, tak nieoswojeni z tą myślą. Ale w miarę jak ojciec mówił, słowa trafiły do serc, szły mimowolnie do przekonania i poculi najprzód łzy w oczach, potem tęsknotę, żal jakiś i niepokój w duszy. Tak nagle porzucić miejsce do którego się wrosło, które zdaje się jedyném, co w niem żyć można! niewidzieć swoich, niebudzić się z spokojną myślą dnia takiego jak wczorajszy! pójść tak nagle z życia lekko płynącego, na swój chleb, na troski o siebie, pójść jedném słowem — w świat — A! to było boleśnie, bardzo boleśnie. I nie dziw że same się łzy kręciły w oczach, bo nie myśleli żeby ich kiedy ojciec szukać szczęścia wyprawiał, kiedy im i tu dobrze było i bądź co, mieli dosyć —

Ale postanowienie ojcowskie było niezmiennie, stanowcze.

Spojrzeni po sobie bracia, jakby się ze snu obudzili, ze snu miłego, który teraz gdy się skończył, wydał się tak krótkim, prawdziwie jak sen.

— Co temu tatulowi w głowie? pomyślał w duchu Domko —

— Gdzie ja się podzieję? co z sobą zrobię? — rzekł Florek.

A w tém ojciec się ku nim zbliżył i za sobą ich do matki, do alkierza poprowadził. Poszli z nim posłusznie i ze spuszczonej głowy. Matka siedziała na kufrze i płakała oparta na ręku. Siostry miały oczy czerwone od łez — zwrócone z wyrazem smutku na braci. Ojciec był blady, wzruszony, ale na mężkiej powiece łza nie powstała. Dwa skórzane woreczki leżały na stole, napełnione talarami, oddał je synom w milczeniu.

Oni rzucili mu się do nóg i płakali, potem padli przed matką, która ich ścisnęła i błogo-

ślawiła, wieszając na nich szkaplerze i medaliiki z Najświętszą Panną Częstochowską.

— Niech was Bóg i święta Jego matka prowadzi moje dzieci, mówiła łkając, głosem od płaczn przerywanym, powracajcie nam pocziwi i zdrowi.

A ojciec dodał:

— I nie z próżnemi rękoma. Młodość drogi to czas, nie marnujcie go. Waści panie Dominiku wojskowo by służyć, tobie Florku dworsko. Nie wybieram gdzie macie jechać! Niech was Bóg prowadzi, gdzie on sam chce, on najlepiej wie, gdzie wasze szczęście, i matka Boża wskaże wam drogę. Jedźcie moje dzieci, jedźcie w imie Boże!

I znowu rzuciła się im matka na szyję, płacząc ścisnąć zaczęły siostry, błogosławił ojciec. Aż wszedł ksiądz proboszcz, siwy starzec, przyjaciel wszystkiej szlachty, którą od tylu lat chrzcił, żenił i chował. Ukłękli przed nim bracia, wyciągnął nad niemi ręce i jemu czysta łza potoczyła się po twarzy.

Szeptał modlitwy po cichu, pocałował ich w głowy. Jedźcie z Bogiem, rzekł — kto z Bogiem, Bóg z nim; niezapominajcie wiary naszej, nie rzucajcie nabożnych zwyczajów młodości. Nie zważajcie na śmiech i urągania, które was spotkać mogą, a źle wam będzie, obracajcie się do Boga, ufajcie w nim. i dobrze wam będzie; dziękujcie Bogu! Niechaj was Bóg oświeca, błogosławi, wspomaga i prowadzi!

Z alkierza wyszli młodzi do wielkiej izby, tu ich obścapiłi wszyscy i pili zdrowie ich, życząc wszelkiego szczęścia, rychłego i szczęśliwego do zagrody powrotu. Niektórzy podochoceni, wróżyli im to to, to owo, przepowiadali wiele sukcesów; dorobienie się fortuny, honory, bogate ożenienie. Dwaj bracia odurzeni tém wszystkiém wstali, tak, że kiedy wyszli raz jeszcze pożegnać domowych i zajrzeć do swojej izdebki, z której jeszcze dziś rano nie spodziewali się w tak długą wybierać podróż, to tak byli pomiesz-

ni, że niewiedzieli co wziąć z sobą, co zostawić. Ale Florek mniej jeszcze miał przytomności od brata; blady zamyślony, chwycił odzienie, spakował je w tłómaczek nie patrząc na nie i nie myślał, czy mu czego braknąć może. Domko, choć ze łzami w oczach dobrze wyrachował, co wziąć, co porzucić, i w mgnieniu oka gotów był do drogi. Konie czekały u gumna; dwa konie szpaki, po cztery lata w piątym, gładkie jak gałeczki, różne, wesole. Rządziki na nich skromne, ale nowe i czyste, siodła wygodne i węzelki u siodeł przytroczone już.

I znowu padli przed ojcem, ściskając jego nogi, znowu przed matką, znowu siostry żegnali, znowu pili ich zdrowie sąsiedzi, wytoczywszy się na ganek wszyscy. Już siadali na koni, kiedy się odezwał pan Mikołaj:

— No, jedźcież waszmość razem tylko do figury za wsią, tam się rozdzielicie pomodliwszy, żeby was Bóg natchnął, w którą stronę ru-

żyć macie. Tę figurę sumptem swoim dziad nasz postawił. A teraz w imie Boże!

Bracia byli na koniach, obejrzeni się raz jeszcze ku swoim, matka serdecznie płakała, zakrywając łzy swoje jedną ręką, a drugą ich żegnając, siostry patrzyły przez okna, proboszcz się modlił, sąsiedzi pili.—Szczęśliwej podróży!

Oni już jechali, pokłoniwszy się czapkami. A któż wypowie co się w sercach ich działo, ile razy obejrzeni się za siebie, uchylili głów i westchnęli, ile razy łzy, na suche już oczy wyszły; jak teraz inaczej wcale wszystko im w tym majowym świecie przypominało boleśnie, co mogło nigdy nigdy nie wrócić.

Już byli wśród wielkiej ulicy siola i jechali ku figurze — a jeszcze słowem się do siebie nie ozwali. Oba mimowolnie obracali oczy na bielejące kominy dworku, na zielone lipy dziedzińca, na gniazdo bocianie,

z którego stary przyjaciel rodziny, stojąc na jednej nodze, klekotał pożegnanie swoje.

A w siole już ich czekali ci, którzy prędko dowiedzieli się o ich wyjeździe i pożegnać chcieli. Ze wszystkich szlacheckich dworów, powybiegały dziewczęta, powychodziły matki, powyskakiwali młodzi i stali na drodze i przybiegali ku nim, aby im spójrzeć w oczy, raz ostatni! Kto wie, może doprawdy ostatni! A któż wie, żegnając nawet na dwa dni przyjaciela, czy go po dwóch dniach zobaczysz?

Domka łapały po drodze wszystkie dziewczęta z kruczemi kosami i ocierając łzy fartuchem, żegnały po cichu.

— Magdusia! ja o tobie nigdy nie zapomnę—mówił jednéj, a dalej powtarzał toż samo Frani i Joasi, każdéj bo serdecznie żałował; a serce się mu krajało, na wspomnienie niepowrótных wieczorów pod wiśniowemi sady, w leszczynowych szpalerach, — wieczorów co się odrodzić nie mogły, bo

stary wędrowiec wróciwszy nazad do swojej zagrody, jużby nawet ich może niezapragnął złamany życiem i odczarowany. Młodzi towarzysze podawali ręce Domkowi, mało ich Florko zaczepiał; Florek jechał smutny i raz tylko spojrzał przed siebie, raz tylko!

Na prawo stał mały dworek, ubogi dworek Sosnowskiego szlacheica, którego jedną miał tylko córkę. W okienku otwartém siedziała Jadwisia, oczy miała czerwone, na ręczce się sparała i patrzyła w ulicę. A nie patrzyła na Domka, ale na Florka. I on spojrzał na nią, zarumienił się, spojrzał w górę przed siebie, potem znów na nią i znów na nią, uklonił się i chciał spojrzeć jeszcze — ale już jej w okienku nie było. Florek puścił konia co wyskoczy, a że się już osada kończyła, Domko poparł także za nim.

Dopiero wyjechawszy między płoty i ogrody, gdzie już prócz pasących się chudych szkap nikogo nie było, wstrzymali koni, spojrzeli po sobie i przemówili do siebie.

— Bracie, rzekł Domko—smutno tak dom porzucać!

— O! smutno, odpowiedział Florek, ale jam się tego dawno spodziewał.

— Spodziewałeś się! Do kata! a ja nie! ojcu dziwna rzecz przysła do głowy! No, a cóż robić pojedziem w świat. Ażebyć choć razem we dwóch, ale trzeba się i z sobą rozłączyć!

O! prawda, że to boleśnie — powtórzył Florek i obejrzał się na dworek Pana Sosnowskiego, z którego okna białł rąbek Jadwiśi i pokłonił się raz jeszcze; a Domko pojrzał w drugą stronę po za siebie, ale nie było już komu pokłonić.

Zbliżali się tak rozprawiając, oglądając ku figurze, która stała nad rozdołem na wzgórzu. Słońce zachodzić miało: już się znacznie pochyliło, wieczór był piękny, cały w złocistém świetle, w przepychu zieloności i kwiatów letnich, złotawe chmurki biegały po niebios błękiecie. Na wzgórzu świeciła blachą

obita figura, wzniesiona na murowanej podstawie. U téj rozstać się mieli. Od niéj szły trzy drogi: jedna wiodąca do wsi, dwie w przeciwné ku zachodowi i wschodowi strony. Jak tylko ujrzeni krzyż, posmutnieli i pospuszczali głowy, obejrzeni się na dom rodzicielski i milczeli. Jeszcze widać im było dach, podwórek, komiuty — gniazdo bocianie i wysoki żuraw studni.

— O! zawołał Florek, i kiedyż zobaczymy się znowu?

— Za lat pięć u téj samej figury, kto żyw z nas będzie, niech się stawi na ten sam dzień, rzekł Domko.

— Zgoda bracie, odparł Florek, za lat pięć i w ten sam dzień; a jeśli umrzemy, to dusze nasze tu się zejdą, za lat pięć przy dziadowskiej figurze.

W téj chwili zbliżyli się do niéj właśnie, i z koni zsiadli, aby się pomodlić. A modlili się szczerze, klęcząc na ziemi, modlili się, a choć ich modły przerywały mimowol-

ne wspomnienia rozstania, choć przed ich oczyma przesuwały się żywe jeszcze uczucia po stracie znajomych i drogich, których za sobą rzucili, Bóg przyjął modlitwę, bo była łzawa, szczera, serdeczna. Jeszcze ztąd widać było całą osadę rodzinną — i długo bracia usiadłszy pod krzyżem patrzali na nią; długo jakby w sercu swém obraz ten głęboko wyryć chcieli, przenosili oczy z jednego sadu na drugi, z dworku na dworek — I policzyli tak wszystkie kominy szlacheckich domków, wszystkie gniazda bocianie, wszystkie stare znajome grusze, aż oczy się ich zatrzymały na wieży kościółka i czarniejszych krzyżach smętarza.

Rzucili się płacząc w swoje objęcia, i ścisnęli długo, i rozstawali i żegnali jeszcze i jeszcze, nim na konie siedli. — Za lat pięć! powtórzyli oba, za lat pięć! Potem przeżegnawszy się dosiedli koni, zwrócili je łbami ku figurze i puścili wolno kierując niemi. —

Koń Domka poszedł na wschód, a Florka

na zachód — Bądź zdrow! Bądź zdrow! i pu-
ścili się czwalem.

III.

Pięć lat poki się przekołaczą, wydają się
długimi, to dobry kawałek życia człowieka,
ale u końca jakże, obejrzawszy się na nie,
krótkie wyglądają! Gdzie się one podziały?
mówiemy w sobie, pięć lat! przebiegły, jak
jedna chwila i nie wrócą nigdy, nie wrócą!

A w pięciu latach, ileż to się przemienić,
ile popsuć, ile naprawić może! O! wierzcie
mi, pięć lat to nie wiele i bardzo wiele, tak
jak całe życie człowieka.

Otóż i pięć lat upłynęły i nadszedł ten
sam dzień N. Panny Zielnej; a w osadzie
szlacheckiej, na oko tak samo jak było choć
wiele się zmieniło rzeczy. Do wielu drzwi
zastukała śmierć, przez wiele progów prze-
szły wesołe swaty, pod wielą dachami za-
kwitły nowo-narodzone dzieci; — zajrzała po-
myślność i dostatek do ubogich, zajrzało

ubóstwo, wiodąc nędzę za sobą do zamożnych.

Na smętarzu spoczywał stary proboszcz, który braciom błogosławił; nowy tego dnia wiódł processyą i dziewczęta które niosły ołtarz Maryi, teraz zostały u kołyszek dzieci a inne je zastępowały, wielu starych brakło, wielu młodych nie było; a zdala spojrzawszy, wydaje się jakby nie niezmienił czas.

Słońce nachylało się ku zachodowi, złociste obłoki pływały w niebios błękicie, wietrzyk wiał od wschodu, na wzgórzu świecił krzyż blachą obity, u krzyża modliła się czy dumiała siedząc kobieta.

To była Jadwisia. — Ale nie ta którą rumianą i świeżą pożegnał Florek siedzącą w okienku chaty i pięć lat widoczne ślady zostawiły na jój twarzy, a każdy podwójnie jój był długi i o dwa ją starzył. Błada, smutna, z oczyma wpadłemi głęboko, z usty sinemi, czemuż patrzała na zachód? kto jój powiedział, że tą drogą pojechał Florek, kto

jéj oznajmił, że tędy miał dziś powrócić? Czemuż dziś właśnie usiadła pod krzyżem, gdy rówiennice siostry, bawią się po sadach wesoło i gromadzą przy jarmarkowych szopkach? Sama jedna, pod krzyżem? Wszak nie słyszała rozmowy braci, nie wie o daném słowie?

Patrzcie! jakby się zmówili z dwóch stron zapylił gościniec — z dwóch stron biegną dwaj konni, od zachodu i od wschodu! Czemuż Jadwisi nie odwróci ten tentent konia, co kłusuje gościńcem tamtym, czemu na zachód pogląda, a serce jéj bije! Co raz bliżej! Coraz wolniej jadą, i oba patrzą kto siedzi pod krzyżem, a jednemu pod kuntuszem zabiło serce mocno, zabiło i drugiemu, ale na próżno! — Już się zbliżają!

— Witaj bracie!

— Witaj bracie!

— To Jadwiga!

— To Florjan, mój Boże, to on!

I wstała i zarumieniła się, niewiedząc co z sobą począć.

A bracia zsiadli z koni i podali sobie ręce i spojrzeli sobie w oczy, jakby jednym spojrzeniem chcieli swą przeszłość wybadać nawzajem.

Co za odmiana!

Florek zmężniał, wypiękniał, oczy mu się świecą, złoty wąs na wardze się rozwija, długie włosy spływają na barki, a na białej twarzy jakby rumieniec, co go dawniej nie było — Dawny smutek zmienił się w wyraz zamyślenia i dumy. A drugi — wybladł, wychudł, ledwie go poznać, rumieniec utracił, oczy mu zapadły głęboko, skóra obeschła na kościach, i choć młody, już się pochylał.

— Bracie, jakeś wymężniał!

— Jakeś schorzał i schudł! To były pierwsze ich słowa. Potem Florek obrócił się do Jadwigi, która już ku siołu odchodziła, pochwycił ją za rękę i przycisnął do ust, a mó-

wieć nie nie mógł, bo słowa na to co czuł, słowa tak wielkiego, potężnego, co by myśl jego, co by całe czucie wylało—takiego słowa nie było. Ona poszła dalej, lekka, ożywiona, odmłodzona, wesola; na myśl jej nieprzyszło czy on powrócił jej wiernym, dość że go widziała, dość że cały, żywy i zdrowy powrócił.

— Zaczniemy od modlitwy — rzekł Florek i ukląkł pod krzyżem, modląc się serdecznie, a łzy mu płynęły po twarzy, a serce biło mu mocno. Domko nie dzielił z nim modlitwy; on zimny stał z boku i smutno poglądał na bielejące kominy ojcowskiego dworku.

— Tyś się nie modlił bracie? spytał go Florek. Domko potrząsnął głową i zamilkł.

— Usiądźmy, powiedz mi, co z tobą było ja ci powiem co ze mną, rzekł Florek, jak nam Bóg szczęścił! wiesz że pociechę ojcu i matce?

— Wiozę pieniądze — rzekł brat zimno — chcieli abym zarabiał i pracował, zarobiłem

wiele! Mam spory trzos talarów i czerwonych złotych — Ale mi cięży nie tyle trzos na biodrach, co moja podróż na duszy.

— Na Boga bracie, krzyknął Florek, cożeś uczynił, zapomniałeś się na występku? Jezu! A! nie wracaj lepiej z temi oplakanemi pieniędzmi do domu, idąc oddaj je, od kogo wzięłeś—i pokutuj za grzech swój. —

— Jakżeś dziwny bracie, odparł pogardliwie Domko—Myślisz żem je ukradł lub rozbójem dostał! nie — tegom się przynajmniej nie dopuścił!

— Cóżżeś uczynił tak złego, co ci cięży? na Boga, mów prędzej? —

— Nic — nic — odparł drugi smutnie — nie — tylko się wyrzekł mojej wiary.

Florek zakrył twarz rękoma i rzucił się na ziemię.

— Bracie, rzekł — tyś heretyk!

— O! nie! odpowiedział zimno Domko — nie jestem nawet heretyk — nie bracie — Gorzej, gorzej, w nie nie wierzę —

Florek osłupiał, on tego nawet nie pojmo-
wał.

— Jakże się to stało? spytał smutnie i ci-
cho po chwili.

— Jak? jak wszystko; nieznacznie przy-
szło i nie wiedzieć jak się stało. A zapłata
za duszę moją, ten wór talarów.

I rzucił przed siebie na trawę, odpasawszy
trzos, który się po zielonej murawie potoc-
zył — Posłuchaj!

— Gdyśmy ztąd przed pięcią laty rozjecha-
li się, jam te strony rzucił całę inny! O!
kiedy przypomnę, jak mi w ówczas lekko by-
ło na duszy, jak swobodnie, jak wesoło na
świecie, to krwawemi łzami w sercu mojem
placzę.

Jechałem nie wiedząc dokąd, po co, ale
ciekawość uprzyjemniała mi drogę, wszyst-
kiem się dziwował, wszystkiem się cieszy-
łem. O! czemuż to wrócić nie może, nigdy —
a nigdy! Piątego czy szóstego dnia drogi,
która szła szybko, bo szpaka utrzymać nie

było można i po krótkim popasie, nie zostawiwszy obroku w żłobie, unosił mnie daleko na nocleg; a nigdy na nim nie widać było zmęczenia — piątego czy szóstego dnia drogi, zrana, jak dziś pamiętam, spotkałem w lesie polowanie. Była to niedziela i podobno święto jeszcze jakieś na nią przypadało. Zdziwiłem się słysząc huczków, trąbki i hałas myśliwski. Ciekawość mnie wstrzymała — stanąłem pośród drogi. O kilka kroków odemnie, pod rozłożystym dębem, stał średnich lat mężczyzna w letniej czamarze, w pasowej czapce z kutasem, z flintą na rękę. Skłoniłem mu się z daleka; choć sam nie wiem poczem, poznałem w nim pana. Nie zważał w początku na mnie, bo się rozsluchiwał kędy psy pognały, a przekonawszy się dopióro, że w inną stronę pobiegły, cisnął flintę o ziemię i klnąwszy zamaszysto, rzucił się na rozesłany kobierzec.

— A waść co za jeden? spytał mnie.

— Szlachcie z Podlasia, odpowiedziałem, dodrożny — jadę sobie szukać losu —

— A dokąd że to?

— Sam to Pan Bóg wie! Uśmiechnąłem się, on się uśmiechnął.

— Myślisz służyć dworsko?

— Jak się trafi. Potem spytał o imię i nazwisko, potem znówu kłął polowanie i swoich łowczych.

— Jaby m waszój miłości łatwo wytłuma-
czył, rzekłem, czemu się polowanie nieudało,
gdyby się W. Mość nie obraził?

— No? a cóż tam za enigma?

— Bo to dziś niedziela, a napisano, bę-
dziesz dzień święty, święcił.

— Cha! cha! rozśmiał się pan, a wasz-
mość papista, katolik jesteś? spytał.

— Szlachcie — odpowiedziałem.

Pan mój lepiej się jeszcze rozśmiał.

— A mnie to czem robisz? spytał.

Z respektem — nie śmiem się tłumaczyć,
rzekłem — i zamilkłem.

— Chcesz do mnie przystać — rzekł po chwili, na dworską służbę — jurgielt podwójny, dwojaka barwa i dwa konie możesz utrzymać — Umiesz pisać?

— Umiem.

— A nie będziesz miał wstępu służyć! u nie katolika?

Tum pierwsze bracie głupstwo zrobił, bo mi trzeba było, jak od zapowietrzonego uciekać i ruszać dalej; ale mnie ten podwójny jurgielt skusił i zda się że moja śmiałość i odpowiedzi podobały się mu, bo mi podał rękę, którą pocałowałem i już uwiązawszy konia do drzewa, czekałem rozkazów jak dworzanin. Mój nowy pan zatrąbił w trąbkę i natychmiast z różnych stron poskoczyli ku niemu kilku młodzieży. Bardzom się im ciekawie przyglądał, bo po nich chciałem poznać, możność pańską i dostatek. Ale niespodział tego, com zobaczył, bo choć to na polowaniu, ale służba była strojna, postawna, a konie daj go katu! że się mój szpaczek, które-

gom miał za niczego szkapę—chmyzem przy nich wydawał. Otoczyli mnie ciekawie, gdy kasztelan mruknął, że mnie przyjął, i oglądali jak raroga, posmiechując po trosze; — bo i było czego. Najprzód żem wcale na towarzysza ich niewyglądał z miny, powtóre, że tak, niewiedzieć po jakiemu, na śród drogi zostałem przyjęty. Zniechęcony złym początkiem polowania, kasztelan kazał ruszyć do domu i wnet ozwały się trąbki, a my puściliśmy się gościńcem, dobrego kłusa. Tu dopiero milczkiem jadąc począłem myśleć, jaki to być musi dwór kasztelański; ale mi towarzysze dumać nie dali, bo tuż pytaniami mnie i drwinkami zarzucać zaczęli, każdy sobie. Tom się musiał odcinać, temu tak, temu owak, a dobrze mi to jakoś poszło, bom nikogo nie obraził, a z wszystkiemi się zapoznał. Kiedy po kilkun godzinach drogi, ukazało się zameczysko na wyspie wśród błota czarniejące posępnie, to już po imieniu i nazwisku znałem tych co ze mną jechali i śmiało

im patrzałem w oczy. Przybywszy do zamku, nadziwiłem się nie mógł, jego ogromowi, budowie i ciżbie ludu, co dla usługi jednego człowieka, tam się znajdowało. Zamek był okropny, do koła fossą mnrowaną otoczony, z czterema basztami i jedną ogromną wieżycą nad bramą. W pośrodku sam dwór piętrowy — po bokach różne budynki, na pomieszczenie dworu, stajnie, składy śpichrze; w czasie pokoju dość obszerne, a czasu wojny za ciasne nawet. Pod zamkiem rozciągało się miasteczko, ale próżno w nim szukałem oczyma wieży kościoła — pierwsze to com widział tak osieroczone. — W rynku stała i szkoła żydowska i kircha z kogutkiem na dachu. O! trzeba mi było z moją pocziwą wiarą uciekać z tego zarażonego miejsca. Ale jam zawsze lubił hulankę, łowy, swobodę i zostałem. Nikt mnie tu o moją wiarę nie pytał, nikt nie namawiał na swoją, ale widok ciągły deptanych bezkarnie i obojętnie przepisów kościoła, łamanych postów,

znieważanych dni świątecznych i ciągle śmiechy z naszych obrządków, drwinki z najświętszych rzeczy, które w początkach tylko, zgrozą mnie przejmowały, w końcu popsuły. Bo nie ma na świecie człowieka, co by w płomieniu ciągle siedząc, nie zapalił się na koniec. Tak się i ze mną stało. Nie przystałem ja sercem do nich; miałem jakiś wstręt kn tym bezbożnikom, a sam powoli gasilem w sobie dawną wiarę moją. Nieznacznie począłem się za ich przykładem wyłamywać od postów, mniej zważać na dni świąteczne, rzadziej modlić. I powoli — powoli, powtarzałem sobie w sercu — to przesady, to niepotrzebne dodatki, na tém wiara nie stoi. A wiara jest jako sklepienie, z którego cegielkę wyjąwszy, runie wszystko. I tak gdy się wyłamała szczytba w duszy, weszła w nią niewiara i obojętność. Uwierzyłem w ślepe przeznaczenie, w żelazną konieczność, o których tam ciągle prawili; powiedziałem sobie, że człowiek musi być tem,

czem jest, i uspokoiłem się w swoim zepsuciu. I jakże tak być nie miało, gdy pan, gdy słudzy, gdy wszyscy co mnie otaczali, co dzień, co godzina podkopywali coraz nową część, moich dawnych przekonań. Kasztelan był dla mnie najlepszym, nie tylko wypłata u niego regularna, ale podarki były częste i niemało; handlując też kołmi zarabiałem. Nareszcie wypróbowaawszy mnie żem uczciwy i wierny, jął pan posyłać po folwarkach, dla słuchania liczby. I tak powoli zebrałem grosza. A zważ bracie że cały ten czas, nie poczułem żem źle uczynił, jedna zgryzota sumienia mi nie przyszła, jedna myśl nad sobą. Porwany tym wirem złego, kręciłem się w nim bez przytomności. Kiedy raz pierwszy pożalowałem mój wiary i obejrzałem się jakim jestem! obrzydzenie dla samego siebie powziąłem w ówczas dopiero gdy mi serce zabiło na widok tego krzyża, gdy ujrzałem nasz smętarz i kościółek i dworek ojcowski, gdy ujrzałem ciebie modlącego

się tak szczerze, poznałem że za się już modlić nie mogłem, że mi ciężko na duszy, że czegoś jak by powietrza do życia brakuje, jakbym oddychać nie mógł i nie miał czem. — Brak to mi wiary, brak przyszłości — takie życie! takie życie! dodał tuląc twarz w dłoniach, życie bez niebios za mogiłą i bez nadziei zobaczenia się ze światem, jest że to życie? Możnaż w niém wytrzymać? A Florek się zasmucił, słysząc tak mówiącego brata i podał mu rękę.

— Nie jeszcze Domku, nie stracono, rzekł, kiedy czujesz, że ci źle w tym stanie, wrócisz do tego coś utracił.

— O! nie wrócę, nie wrócę, odparł brat, nie mogę, nie mogę! nie wrócę do dawnéj swobody, szczęścia, do tego dworku, do téj wioski, i tam już nie powrócę, gdzie się zaraził tą chorobą. Na — rzekł — wezmij ten trzos zanieś go ojcu i powiedz, com ja ci powiedział — Mnie on więcéj nie zobaczy!

— Szalony! upamiętaj się! dokąd? zawo-

łół młodszy — chcesz że pogorszyć swój stan jeszcze ?

— Nie, nie, spokojniej mówił Domko — nie lękaj się, pojdę do klasztoru, na pokutę, czuję potrzebę pokuty, a na nią mało i życia całego. Pożegnaj ojca i matkę, bądź zdrow, bądź szczęśliwy. Ja ich widzieć nie mogę — pozostać tu nie chcę, kamień mam na duszy.

To mówiąc wyrwał się Domko z uścisków brata, puścił w krzaki zostawując konia i tłomoki i zniknął.

Na próżno gonił za nim młodszy, wołał go, szukał, już nie zobaczył, smutny wiodąc za sobą parę koni, udał się do ojcowskiego dworu, gdzie brata historją opowiedział i trzos jego oddał. Ale tknąć się tych pieniędzy nieszczęsnych nikt nie chciał, i złożyli je na wybudowanie nowego kościoła.

Dziesięć lat minęły. W sam dzień Najświętszej Panny Zielnej, szedł z południa P. Florjan z żoną panią Jadwigą i dwojgiem dzieci, siółem ku figurze. Oni ją na pamiątkę spot-

kania w dniu tym, odwiedzali co roku. A niebo było jak przed dziesięcią, jak przed piętnastą laty pogodne i jasne, obłoczki gnał wiatер wschodni na zachód. I widać było ze wzgórza całą osadę przed oczyma — wszystkie szlacheckie dworki, wszystkie grusze stare, wszystkie żurawie studni i gniazda bocianie i krzyż nowego kościoła i czarne twarze smętnych figur, pochylonych nad grobami. Najprzód się pomodlili, potem usiedli i patrzali w milczeniu na okolicę i dumali. A obojgu im jedna myśl przychodziła — jedna myśl o bracie.

— Co się z nim stało? myślał Florjan.

— Gdzie się on podział! mówiła Jadwiga.

— Bóg go zapewne przyjął i pocieszył, dodał brat — A! ja go tak kochałem, niechciałbym rozdzielony już w tém, w przyszłym się jeszcze życiu rozdzielać! miałżeby on trwać w swém niedowiarstwie! tak bolał nad niém! O! pewno już za swoją winę odpokutował!

I mówili tak długo z sobą — gdy zachodnim gościńcem ujrzeli sunącego się z daleka powoli podróżnego. Rozeznać nie mogli, kto

był taki, tylko ciemna jego postać, niepodobna do zwykle spotykanych, posuwała się powolnie ku nim. Gdy zbliżyła, ujrzeni mniszę suknię zakonu Ś. Franciszka; z pod której kaptura biała wyzółkła twarz z wpadłemi oczyma wyglądała. — Florkowi przecuciem serce zabiło, zerwał się z miejsca i pobiegł ku przychodniowi.

Nie omylił się, był to brat jego, co go witał ze łzami w oczach.

— A ojciec? spytał.

— Na smętarzu — cicho odrzekł młodszy.

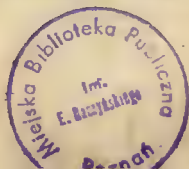
— A matka?

— Ach! i ona —

— A rodzeństwo?

— Jam jeden pozostał! smutno, niewyraźnie rzekł Fiorjan. Mnich spojrzał na smętarz, ukląkł i gorąco modlił się pod figurą; potem otarł łzy i pomimo prośb brata, nie chciał zajrzeć do rodzinnego sioła. Pobłogosławił dzieci, pomodlił się, westchnął i poszedł nazad. I więcej nikt go nie widział, nikt nie słyszał o nim.

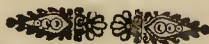
KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.



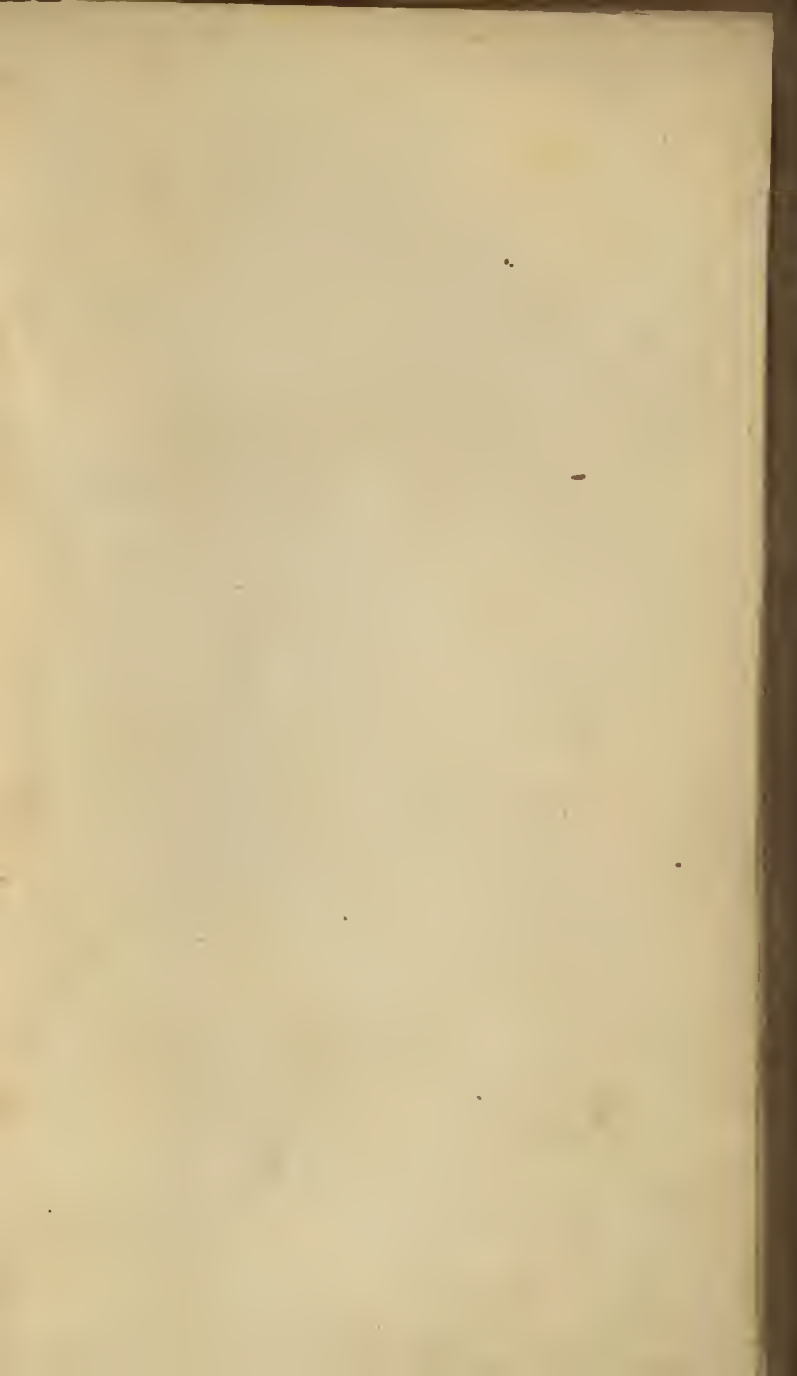
SPIS RZECZY.

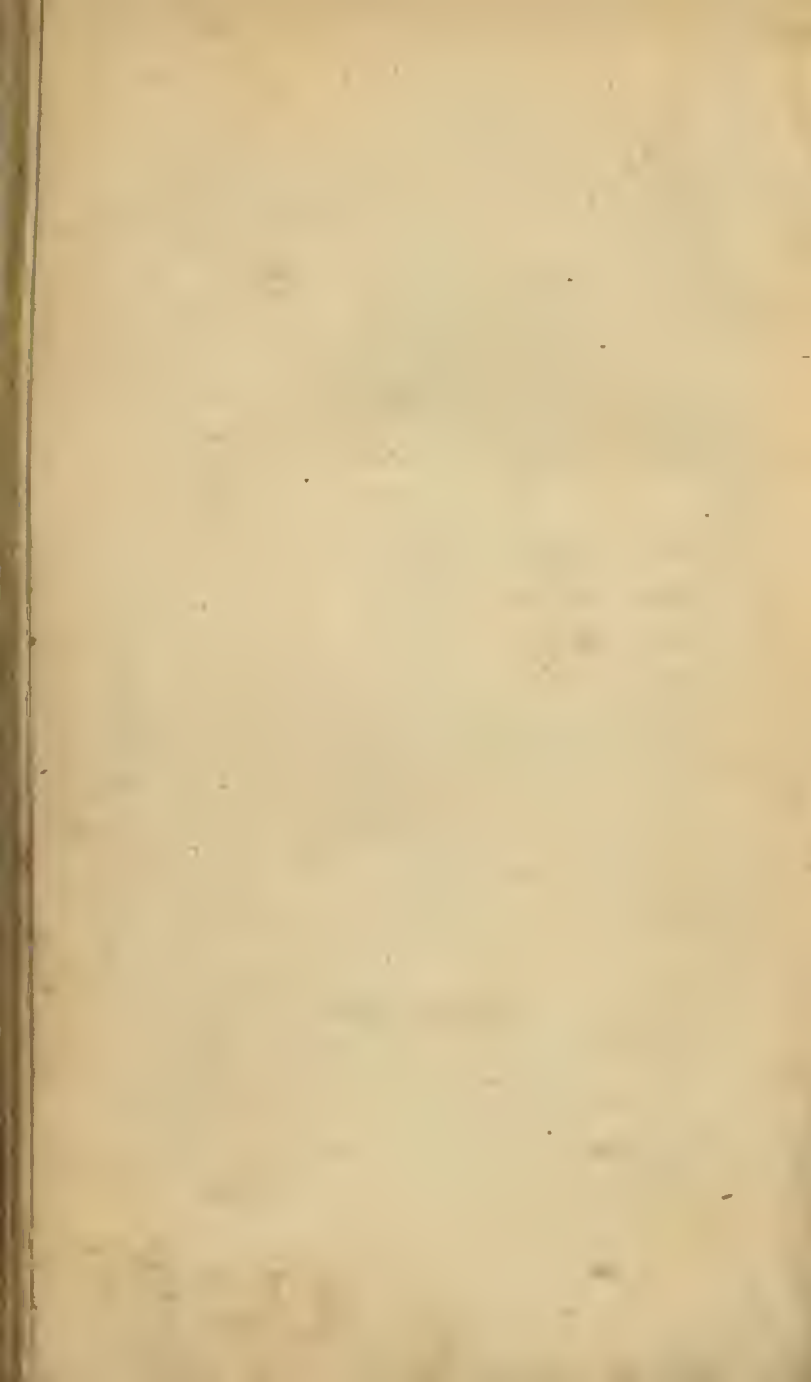


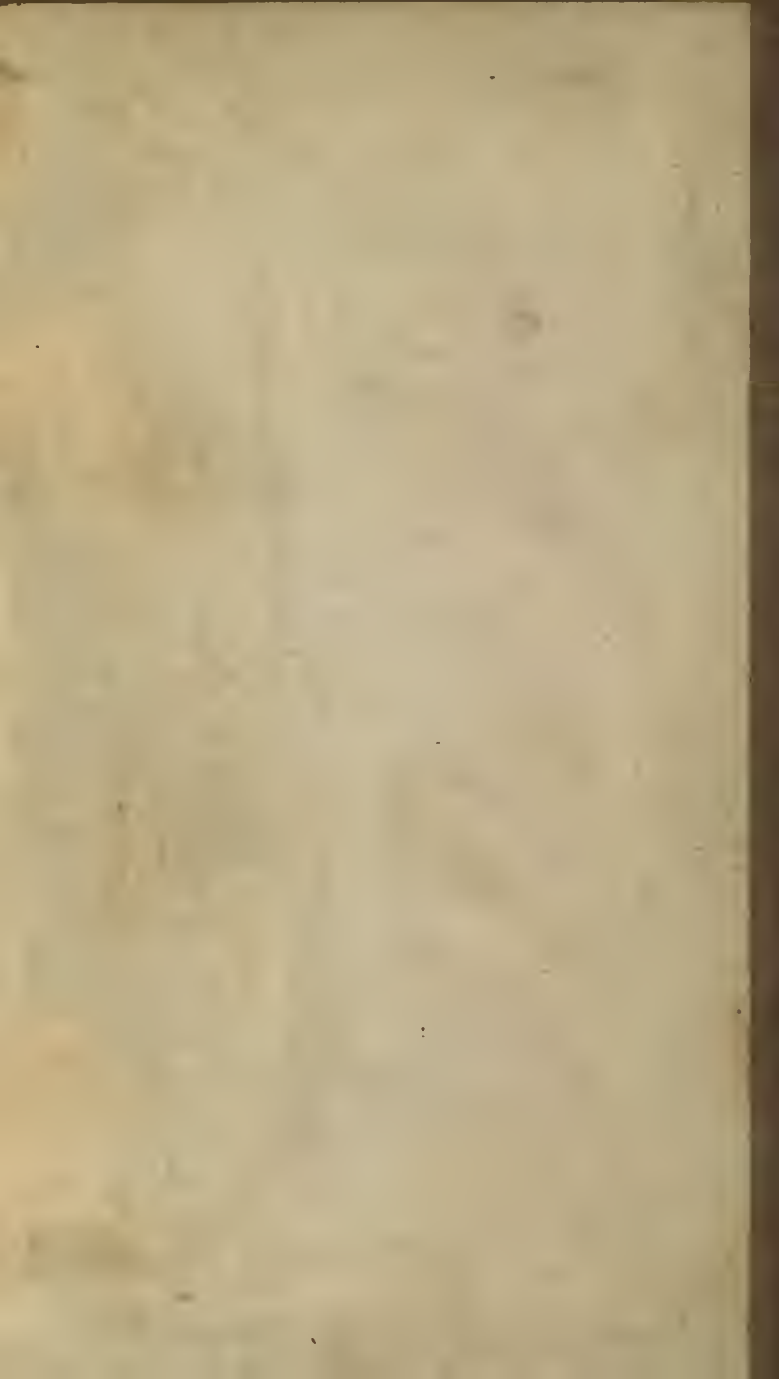
Nowina w Górowie	1
Goście — Sąsiedzi	27
Tekla Drolling	57
Intrygi	87
Jeszcze toż samo	115
Seweryn	141
Doliwowie	161
Koniec końców	193
Krzyż na rozstajnych drogach — powieść	211



1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.







Biblioteka Raczyńskich

JK 923



JK0923